

Leszek K. Talko

Dziecko

dla
profesjonalistów



ilustracje: Ewa Olejnik



----- Nie dla idiotów, -----
czyli jak spędzić doskonałe Świąta

Naprawdę nie wiem, kto jest za to odpowiedzialny. Być może to nawet ja zaproponowałem Monice pewnego pięknego zimowego ranka:

- A może zrobmy te Świąta u siebie.



Niewiele mam na swoje usprawiedliwienie.

W końcu człowiek w moim wieku powinien mieć jakąś, choćby nawet szczątkową, zdolność przewidywania. Człowiek w moim wieku, posiadający dwójkę dzieci, powinien mniej więcej wiedzieć, do czego te dzieci są zdolne.

Mogę jeszcze dodać, że za oknami zachęcająco sypał śnieg, błyskały kolorowe gwiazdki, wszędzie dookoła słychać było sanie, a tłumy Mikołajów poszukiwały na ulicy ofiar, wciskając przechodniom promocyjne ulotki.



– Pokażemy dzieciom, jak wyglądają prawdziwe Święta – zgodziła się Monika.

Podobno prawdziwego mężczyznę poznaje się nie tylko po tym, jak kończy, ale również po tym, że ma dzieci, dom i drzewo. Mam wrażenie, że brakującą rzeczą w tym spisie jest zorganizowanie Świąt.

Wszyscy prawdziwi mężczyźni, jakich znałem (a także prawdziwe kobiety), o organizacji Świąt nie mieli większego pojęcia.

– No, pojedziemy do rodziców albo do teściów. – Kiwali głowami.

My też jeździliśmy na Święta na gotowe, ale teraz chcieliśmy pokazać dzieciom, jak fajnie jest spędzać Święta w domu. I jak to miło je wspólnie przyszykować.

Postanowiliśmy przygotować dzieciaki na tę nowość.

– A wiecie, że już niedługo gwiazdka? – zagaiła Monika. – Przyjdzie do nas święty Mikołaj.

Złapałem się za głowę i robiłem za plecami Pitulka i Kudłatej rozpaczliwe znaki, niestety, moja żona kompletnie nie połąpała się w sytuacji.

– Przyniesie wam wór prezentów, oczywiście, o ile będziecie grzeczni.

– No dobra, będziemy, będziemy – westchnął ciężko Pitu niczym menedżer, który dowiedział się, że jego dział musi przysiąść fałdów i zostawać po godzinach, żeby wykonać plan.

– Skąd ja ci wezmę Mikołaja? – syknąłem scenicznym szeptem, kiedy dzieci oddaliły się demonstracyjnie, pokazując, że są grzeczne.

– Zadzwońisz i zamówisz – wytłumaczyła Monika.

– Chyba żartujesz – jęknąłem. – Mikołaje na Wigilię są już dawno poumawiani. Mogą przyjść w drugi dzień Świąt.

– No to sam się przebierzesz – machnęła ręką moja zdroworozsądkowa żona. – Poradzimy sobie.

– Poradzimy sobie – powtarzałem w duchu, wertując przepisy kucharskie. Cóż, gotuję całkiem nieźle, ale raczej nie po polsku. W jaki sposób zrobić pierogi, skoro każdy przepis był inny? A jeśli już ciasto na pierogi wydawało się zaporą nie do przejścia, to co wspominać o makowcu?

– Pierogi zostawmy na później – zasugerowała Monika. – Zajmij się piernikami. One muszą skruszeć do Świąt.

Ba, pisma dla rodziców pełne są zdjęć roześmianej rodziny wspólnie przygotowującej świąteczne łakocie. A wszystko to w sterylnie czystych wnętrzach, najwyraźniej nietkniętych dziecięcą ręką.

Właśnie się ponuro zastanawiałem, ile trwa taka sesja zdjęciowa i ile sprzętaczek musi czyhać w gotowości poza obiektywem, by wbiec na plan i usunąć ślady radosnej działalności dzieci.

U nas, niestety, czyhała tylko Monika.

– Kochanie, byłbyś tak dobry i uważał, co one robią? – zapytała.

– Robimy masę piernikową – mruknąłem, szukając imbiru w szafce.

– Może wydaje ci się, że robicie, ale mnie się wydaje, że Pitu smaży tę masę Kudłata.

Rzeczywiście, Kudłata przypominała polukrowany piernik. Wytarłem ją i zacząłem sypać składniki piernika do miski. Dzieci były zachwycone, wysypując je z powrotem. „Być może podane w przepisie proporcje trzeba pomnożyć przez dwa, z góry zakładając, że połowa i tak zostanie wtarta w rodziców, rodzeństwo i podłogę?” – zastanawiałem się ponuro.

– Myślisz, że cokolwiek z tego będzie? – Zważyłem godzinę później, kiedy wpychaliśmy do piecyka blachy pełne dziwnych tworów, uformowanych przez nasze dzieci.

Pierniki – na zdjęciach przedstawiane jako śliczne gwiazdki, krasnoludki i zwierzaczki – wyglądały w naszym wykonaniu mniej więcej tak, jakby wielka błotna kula wpadła i rozprysnęła się na mniejsze kawałki.

– No cóż... – zawahała się Monika, jeszcze raz zerkając na wcześniej zaznaczoną stronę w kolorowym piśmie, gdzie uśmiechnięta mama wyjmowała blachę przepięknych pierniczków, a sterylnie czyste blond dzieci z nabożnym zachwytem się w nie wpatrywały.

– Zakład, że nie pozwoliła dzieciom ich dotknąć i prała po łapach? – zapytałem po cichu.

Dni do Wigilii kurczyły się w zastraszającym tempie, a my codziennie przypominaliśmy sobie o brakach.

– Nie mamy obrusa świątecznego! – Palnąłem się w głowę dwa dni przed Świętami. Owszem, mamy obrusy prowansalskie, mamy nawet obrusy arabskie, ale żaden nie pasował na świąteczną kolację.

– Pójdziemy kupić, wiesz – zawiadomił Pitu z ważną miną i stanął z butami w ręku pod drzwiami.

– Najpierw kupimy choinkę – zdecydowałem.

Po drodze robiłem szybkie rachunki. Bombki – mamy kilka pudeł, na które naciągnęły nas dzieci, i nie ma szansy, żeby zmieściły się wszystkie na nawet największą choinkę. Jako doświadczeni rodzice nabyliśmy wyłącznie bezpieczne ozdoby, najpierw dyskretnie upuszczając je na podłogę, a następnie kupując te, które przeżyły próbę.

Każdy rodzic hołubi wspomnienie z dzieciństwa, jak to podązał zaśnieżoną dróżką z sankami po choinkę.

Niestety, rzeczywistość jak zawsze nie dorasta do wyobrażeń.

– Umawiamy się, że będziecie grzeczni – przypomniałem raczej pro forma.

– No będziemy, będziemy – mruknął ponuro Pitu, co powinno mi dać do myślenia, ale nie wiedzieć czemu uspokoiło.

– Jutro ubierzemy choinkę, a wieczorem przyjdzie Mikołaj i da nam wszystkim prezenty – mówiłem monotonnym tonem, od którego trochę zachciało mi się spać. – Zobaczcie, już jesteśmy na miejscu, którą choinkę wybierzemy?



– Ta, ta – ryknęła Kudłata i rzuciła się do malutkiej choinki w doniczce.

– Ty, głupia, dużą choinkę bierzemy – wrzasnął Pitu i popędził w drugą stronę, znikając z pola widzenia.

– Chwila, czekaj – wrzasnąłem.

– Bierze pan tę choinkę? – zapytał sprzedawca, patrząc gdzieś za moje ramię. – Tak, chyba pan bierze.

Obróciłem się akurat na czas, żeby zobaczyć, jak Kudłata, która jest dziewczynką szczupłą, ale niczym Jagienka z Krzyżaków obdarzoną nieprzeciętną siłą, wyrywa choinkę z doniczki i triumfalnie niesie ją do mnie.

– Udało się, tatuniu, udało się! – Uśmiechała się od ucha do ucha.

– To jak panu zapakować? – dopytywał się sprzedawca. – Doniczkę też pan bierze czy nie?

W tym momencie Kudłata zawadziła o doniczkę, która malowniczo walnęła o metalowy słup i rozpadła się na dwie części.

– A nie, chyba doniczka zostaje – skostatował sprzedawca.

– Nie kupujemy małej, zostaw małą choinkę! – wrzasnął Pitu, który nagle zmaterializował się obok nas. – Kupimy dużą choinkę, chodź, tato.

– Ała, ała! – wrzeszczała Kudłata, która odkryła właśnie, że choinki mają igły i kłują. – Nie lubim choinki.

– Ale nie taką dużą – jęknęłam na widok choinki wybranej przez Pitulka, która pasowała może do pałacu prezydenckiego, miała ze cztery metry i na pewno nie zmieściłaby się na sankach.

– Może weźmiemy o taką – zaproponowałam rozsądny dwumetrowy kompromis.

– No dobrze – skrzywił się Pitu.

– A gdzie jest twoja siostra? – zapytałam.

– Tam! – Sprzedawca machnął ręką w stronę rury do pakowania choinek i zawijania ich w folię. Kudłata właśnie do niej weszła i zamierzała owinąć się folią.

– A tę choinkę też pan bierze? – zapytał sprzedawca, pokazując jakiś stos gałązek, po którym Kudłata energicznie skakała.

– Nie lubim choinki kłującej – naburmuszyła się.

– To jest, to znaczy, to była specjalna choinka miniaturowa. 120 złotych, ale opuszczę na stół. Też zapakować?

Skinęłam głową. Wyjąłem Kudłatą z bębna, zapakowałam wszystkie choinki na sanki i ruszyliśmy w drogę powrotną.

– Nóżki mnie już bolą – wyznał Pitu po kilku minutach. – Mogę pojechać na sankach?

– Na sankach jedzie choinka – zwróciłem uwagę.

– Ale ja chcę jechać. Jestem już bardzo zmęczony i Kudłata też jest zmęczona.

– Zmęczona, zmęczona – jęknęła Kudłata, a dla większego efektu przewróciła się w śnieg i malowniczo w nim zastygła.

– Jak było? – powitała mnie Monika pół godziny później.

– Fajnie było, fajnie – ucieszył się Pitu. – Tata ciągnął nas na sankach i niósł choinkę. Ale wyrzucił dwie choinki.

– Naprawdę? – zdziwiła się Monika. – Po co kupiłeś tyle choinek?

Chciałem coś powiedzieć, ale zabrakło mi tchu.

– Zresztą potem mi opowiesz – powiedziała Monika. – A teraz weź szybko księżkę kucharską. Położymy dzieci i zaczniemy przygotowywać pierogi i uszka.

– Ja będę robić uszka – ucieszyła się Kudłata. – Lubim uszka.

Nie wiem, jak sobie radzą ludzie mający liczną rodzinę. My skończyliśmy pracę nad ranem i trochę sceptycznie obejrzelśmy talerz uszek i talerz pierogów oraz niedobitki tych, które skleity się albo uległy zniszczeniu.

– Chyba się udało. Najważniejsze, żeby było kilka na osobę – oceniła Monika.

– Mhm – potwierdziłem. – Jesteś pewna, że są w porządku? – zapytałem. – Bo nie wiem, które są uszkami, a które pierogami.

– Hm... – zastanowiła się Monika. – Te z prawej to uszka, a tamte to pierogi.

Spojrzałem jeszcze raz, wydawały się podejrzenie podobne, ale rzeczywiście, przy bliższym oglądzie pierogi sprawiały wrażenie odrobinę większych.

– To co? – zapytałem. – Robimy rybę?

– Nie, idziemy spać.

Poranek nie zwiastował katastrofy. Leniwie prószył śnieżek i gdyby nie to, że Kudłata wskoczyła mi na brzuch o piątej rano, a Pitu włączył na cały regulator telewizor, wrzeszcząc, że już dzień i gdzie jest ten święty Mikołaj, bo ile można czekać – naprawdę dałoby się żyć.

– Już byłem grzeczny. Gdzie ten Mikołaj? – niepokoił się Pitulek.

– Wieczorem będzie – powiedziałem mniej więcej po raz setny. – Teraz ubierzemy choinkę. Mikołaj położy prezenty pod choinką.

Dwie godziny i pudełko zbitych bombek później byłem już znacznie mądrzejszy. Wiedziałem na przykład, że te bombki, które uważałem za nietukące, wcale takie nie były. To prawda, ja nie potrafiłem ich stłuc. Ale przecież nie próbowałem po nich skakać ani rzucać nimi w ścianę.

Z dumą popatrzyliśmy na udekorowaną choinkę. Wyglądała trochę dziwnie. Ocalałe bombki wisały gdzieś pod sufitem, za to dolne gałęzie były prawie łyse. Dałbym głowę, że jeszcze kilka minut temu wisało na nich dużo cukierków, które umieściliśmy tam, uznając, że się nie zbiją. I rzeczywiście – po prostu zniknęły.

– Już jest wieczór? – ciągnął mnie za spodnie Pitulek.

– Nie, kochanie, jeszcze nie. Dopiero dziewiąta przed południem.

– A kiedy wreszcie przyjdzie ten Mikołaj? – wybuchnął mój syn.
– Ile czasu mam być grzeczny?

– Jeszcze chwilę – westchnęła Monika.

Poradniki zawsze doradzają rodzicom, żeby wciągnęli dzieci we wspólne przygotowywanie jedzenia. „To doskonała zabawa dla dzieci – przekonują autorzy. – A czas szybciej mija”.

To prawda, ale dopiero teraz wiem, co mieli na myśli. Bo co zrobi Kudłata zostawiona chwilę sam na sam z zupą grzybową i zadaniem polegającym na udekorowaniu jej pietruszką?

To jasne, pietruszkę wsypie kotu do miski, natomiast do grzybowej wrzuci puszkę chili – dobrze przynajmniej, że tego łagodnego, a nie ognistego.

– Czy już jest wieczór? – Pitulek krążył jak lew w klatce.

– Nie, dopiero dziesiąta rano – powiedziałem starannie modulowanym głosem. – A może chciałbyś pomóc robić makowiec?

– Nie chciałbym – burknął Pitu. – Staram się być grzeczny i czekam na Mikołaja.

Nie wiem, co było nie tak. W końcu my Święta zapamiętaliśmy jako czas kolęd, leniwego siedzenia w fotelach i kontemplowania choinki. Zupełnie nie mogliśmy sobie przypomnieć, żeby makowiec opadał, zupa kipiała i wszystko szło na opak.

– Czy już jest wieczór? – dopytywał się uprzejmie Pitu.

– Nie, dopiero 10.30 – odpowiadałem równie uprzejmie.

– Ile mogę na niego czekać?! – zirytował się Pitulek.

No cóż, wiem, że z kolacją wigilijną należy czekać do pierwszej gwiazdki. Ale skala determinacji Pitulka rosta, a nasze zasady topniały w oczach.

– Ile jeszcze mam czekać?! – wybuchnął Pitu.

Zerknąłem na zegarek.

– Czternasta – powiedziałem Monice. Skinęła głową.

– W porządku – obwieściłem. – Siadamy do stołu.

Po mniej więcej dwóch sekundach dzieci siedziały już na swoich krzesłkach. Na stole leżał piękny obrus z zastony, który w ostatniej chwili kupiliśmy w markecie budowlanym, pod obrusem leżało trochę

zeschniętej bazylii, udającej sianko. Niestety, prawdziwe sianko trafiło do sedesu. Trzeba przyznać, że jeśli Kudłata coś robi – to robi to po-rzecznie. Nie zostało po nim nawet źdźbło.

– Sprzątnęłam, tatuniu – pochwaliła się i spuściła wodę, zanim miałem szansę zainterweniować.

Monika zapaliła kupione na tę okazję świece, a ja podałem opłatki i puściłem nastrojowe kolędy. Rozbłyśta choinka i przy zaciągniętych zasłonach naprawdę mogło się wydawać, że za chwilę zabłyśnie pierwsza gwiazdka.

– Teraz będziemy sobie życzyć wszystkiego najlepszego – powiedziała Monika, rozdając opłatki.

- Życzę ci... – zastanowił się Pitulek – życzę ci, żebyś dobrze spał.
- O, dziękuję – ucieszyłem się, mając w pamięci ranną pobudkę.
- No to już przyjdzie ten Mikołaj? – dociekał nasz syn.
- Za chwileczkę – zapewniłem.
- Ty też dobrze śpij – zezwolił Pitu Monice.

Kudłata w tym czasie była podejrzenie cicho, zjadając wszystkie opłatki.

- Możemy przyjąć, że już sobie życzyliśmy – westchnąłem.
- Ile mogę czekać na tego Mikołaja – westchnął Pitu. – Co to jest?
- Barszczyk – wyjaśniłem.
- Blee, kupa – uciął Pitu. – Nie lubię. Daj kabanosa, keczup i oliwki.
- Trochę słodki ten barszczyk – zdziwiła się Monika.

Pełen złych przeczuc zająrzałem do cukierniczki. Była pusta. Popatrzyłem na Kudłatą.

– Sypałam, tatuniu, cukier – uśmiechnęła się promiennie. – Cały cukier. To ja.

- Może podaj rybę – zaproponowała Monika.
- Ryba, bleeee, nie lubię – zaproponował Pitu.
- A co lubisz? – zainteresowałem się.
- Wiesz, ta ryba jest też jakaś trochę dziwna. Chyba jest w niej musztarda.

– Chyba tak – zgodziłem się bez emocji.

- Chcę kabanosa, keczup, oliwki – życzył sobie Pitu.
- A co myślisz o pierogach? – zaryzykowałem, patrząc z pewną podejrzliwością na nieforemną kulę, którą Monika wyciągnęła z garnka.
- Miały się po ugotowaniu rozdzielić, ale widać były do siebie przywiązane – zwątpiła moja żona. – No trudno, zalejemy je grzybową i może się rozdzielić.
- Keczup, kabanosa i oliwki – powtórzył naburmuszony Pitu nad pustym talerzykiem.
- Uwważaj na Kudłatą! – Krzyk Moniki wyrwał mnie z rozmyślań.
- Kudłata przez długi czas nie mogła dosięgnąć świeczek, więc teraz wpadła na pomysł, złapała za obrus i zjechała po nim na ziemię, a palące się świeceki niebezpiecznie chybotwały na skraju stołu.
- Ej no, Kudłata, głupia jesteś! – ryczał Pitu, trzymając obrus z drugiej strony. – Tato, mogę ją walnąć?
- Ogień, ogień – ryczała uszczęśliwiona Kudłata i usiłowała przewrócić świeczkę.
- Pożar, pożar – ryczał Pitu, dopadł Kudłatą i zaczął ją tłuc łóżką po głowie.
- Zwykły człowiek może by się trochę zawahał i zagubił, ale wszyscy rodzice wiedzą, jak w trzy sekundy opanować sytuację i ugasić płonący obrus.
- Po pięciu sekundach wytarłem kompot, którym ugasiłem ogień na stole, i już tylko dziura w obrusie przypominała o pożarze.
- Chcę keczup, oliwki i kabanosa – powtórzył znowu Pitu.
- Dobra, daj im – machnęła Monika ręką.
- Dalszy ciąg wieczery przebiegł już zgodnie z planem.
- Nawet dobre te... – zastanowiłem się – pierouszka.
- Mhm... – Monika pokiwała głową, krojąc nożem wielką grudę pierouszek w swoim talerzu.
- Bardzo lubię kolację wigilijną – pokiwał głową Pitu. – Chcę jeszcze kabanosa i keczupu.
- Bardzo proszę – podsunąłem mu całe opakowanie i postawiłem butelkę keczupu. A co tam, jak święta to święta.

Pitu zajął się kabanosem, co polegało na zanurzeniu go w całości w keczupie i następnie wysysaniu, a ja po cichu zakradłem się do przedpokoju i z najwyższej półki na pawlaczu ściągnąłem schowany tam miesiąc wcześniej strój świętego Mikołaja.

Plan miałem znakomity, pamiętałem doskonale, po czym dzieci poznają fałszywego Mikołaja. Wiadomo, że wiarygodny Mikołaj nie może mieć na nogach butów tatusia i jego zegarka na ręku. Specjalnie na tę okazję kupiłem mikołajowe kapcie i wymknąłem się do garażu. Prezenty czekały zamknięte w bagażniku – wszystkie inne miejsca w mieszkaniu zostały już przeszukane przez najdoskonalszą komisję śledczą – nasze dzieci.

Po pięciu minutach wyszedłem z samochodu jako najwspanialszy święty Mikołaj, jakiego widziałem. Taszczyłem potężny brzuch wykonany z poduszek, do firmowej brody dodałem obficie sztucznego śniegu w sprayu, kupionego specjalnie na tę okazję, i właściwie wcale mnie nie zdziwiło, że sąsiad spotkany w windzie nie zareagował na moje powitanie.

– Rany boskie, to pan?! – zorientował się około dziesiątego piętra.

Zadzwoiłem do drzwi, poduszka wysuwała się niebezpiecznie z brzucha, ale wszystko było pod kontrolą.

– Czy są tu jakieś grzeczne dzieci? – zahuczałem wzorem znanych mi Mikołajów.

– Aaaaaa, El, potwór! – wrzasnęła Kudłata i uciekła.

– Tata Leszek? – zapytał Pitu.

Zerknąłem w popłochu na swoje odbicie. Nowe mikołajowe kapcie, okulary zdjąłem, zegarek też, z lustra patrzyła na mnie nieznana mi twarz.

Poszedłem w zaparte.

– Nie znam żadnego Leszka. Czy byłeś grzeczny, chłopczyku?

– Jesteś tata Leszek, prawda? – kontynuował Pitu.

– Nie, ale widziałem twój tatę w garażu – udawałem dalej basem. – Powiedział, że zaraz tu przyjdzie.

– To dawaj prezent – mruknął Pitu chyba nie do końca przekonany.

– Chwila – huknąłem. – Najpierw opowiedzcie mi o swoich...

Nie skończyłem, bo w tym momencie coś ugryzło mnie w tydkę i jak się okazało, była to moja córka.

– Auuuu! – wrzasnąłem i podciągnąłem nogawkę – ugryzła mnie do krwi.

– Uciekaj, Elu! – wrzeszczała Kudłata, kopiąc mnie w drugą nogę.

– Mama! Ratunku, pomocy!

– Dawaj prezent – fuknął Pitu i rzucił we mnie kabanosem umocznym w keczupie.

– Wiesz co, lepiej już idź, Mikołaju, do innych dzieci – powiedziała moja żona, starając się opanować sytuację i odciągnąć żądną krwi Kudłatą. – Zostaw tylko prezenty.

Wrzuciłem worek pod choinkę i zrejterowałem za drzwi.



Na klatce schodowej opadłem na podłogę. Z tydki sączyła mi się krew, a twarz potwornie mnie piekła. To chyba ten cholerny sztuczny śnieg.

Rozejrzałem się za chusteczką, ale rzecz jasna nie miałem nic do wytarcia twarzy. Z nadzieją przyłożyłem ucho do drzwi. Gdybym tak

mógł się po cichu wślizgnąć... Niestety, usłyszałem głosy. Za drzwiami siedziała Monika i rozpakowywała prezenty.

– A co nam przyniósł Mikołaj? – słyszałem, jak mówi. – Rozpakujemy teraz te klocki i zobaczymy, co się da z nich zbudować.

„Zadzwoń i poproszę, żeby zwabiła je do innego pokoju” – pomyślałem i sięgnąłem do kieszeni. Szlag by to trafił. Telefon został w domu.

Usiadłem, opierając się o drzwi, chyba się zdrzemnąłem, kiedy sąsiadka wyносиła śmieci i potknęła się o moją nogę, a potem zaczęła wrzeszczeć.

– Przepraszam, to ja – sąsiad – wymamrotałem i zaskrotałem w drzwi.

– Gdzieś ty się podziewał? – syknęła Monika. – Zaczęły się bić o klocki, ledwo sobie poradziłam. Jak ty wyglądasz?!

Zdjąłem brodę i zerknąłem w lusterko. Widziałem jakiegoś obcego faceta z czerwoną nabrzmiałą twarzą.

– Chyba masz uczulenie na sztuczny śnieg – westchnęła Monika.

– Tata, był Mikołaj, wiesz – zawiadomił mnie Pitu z ważną miną, kiedy obandażowany i z twarzą pokrytą kremem leżałem na kanapie. – I Kudłata go ugryzła, wiesz. Ale dał nam klocki. A tobie co dał?

– Co mi dał? – wyrzuciłem. – Sam nie wiem.

– Pewnie byłeś niegrzeczny – wzruszył ramionami Pitu. – Trzeba być grzecznym, wiesz?

– Tak – pokiwałem głową. – Wiem.

Jak oglądać telewizję, i zachować zdrowe zmysły

Podobno każdy ma trupa w szafie. Dla jednych trup to kwestia osobistej asystentki, różnych zastosowań cygara i zaciągania się skrętem. Dla innych – napisanie bądź nienapisanie pracy magisterskiej. Dla każdego rodzica – to telewizor.

Niektórzy gotowi są do ostatka przysięgać, że jednak napisali pracę magisterską, a paląc, w ogóle się nie zaciągali. Rodzice zaś gotowi są raczej umrzeć niż przyznać, że w wychowaniu dziecka najbardziej pomocnym urządzeniem jest telewizor.

Dajmy na to mama Karolka, którego Pitu regularnie spotyka na placu zabaw, codziennie podkreśla, że jej synek nigdy nie ogląda telewizji, bo ta ogłupia albo rodzi w dziecku mordercze instynkty. Całe dni spędza za to, ucząc się literek, rozwiązując układanki i poznając tajniki liczenia.

Kiwam uprzejmie głową i udaję, że nie słyszę, jak Karolek mówi niczym Pokemon i jest doskonale wprowadzony w zawiłości intrygi „Klanu na drzewie”. Długo rozmawiamy o tym, że telewizja jest okropna i trzeba oszczędzić tych zmarnowanych chwil naszym kochanym maleństwom.

Następnie wracamy do naszych domów i Karolek włącza film o Pokemonach, a Pitu życzy sobie film o Scooby Doo. Rzecz jasna proponuję Pitulkowi, żeby zamiast oglądać telewizję rozwiązał może krzyżówkę albo złożył puzzle, Pitu kiwa głową i przetącza na „Toma i Jerry’ego”. Ja, uspokojony, dzwonię do znajomych, z którymi zapewniamy się wzajemnie, że nasze dzieci nie nasiągają telewizją, i słyszę z offu, że w ich mieszkaniu leci akurat „Jagoda Lee”.

Oczywiście – jakiś nierodzik wzruszy tylko ramionami i stuknie się w głowę. Normalny, czyli bezdzietny człowiek, nie jest w stanie tego zrozumieć. W jaki sposób mogę twierdzić, że moje dzieci nie oglądają kreskówek, a jednocześnie pozwalać oglądać te kreskówki?

Jakiś zdolny psychoanalityk mógłby nawet zdiagnozować pierwszego lepszego rodzica pod kątem rozdwojenia jaźni. Ja dziękuję, sam się zdiagnozowałem. Diagnoza brzmi tak: każdy rodzic chce, żeby jego

dziecko zajmowało się czymś rozwijającym i żeby nie oglądało telewizji. Niestety, żaden rodzic nie jest w stanie wytrzymać kilkunastu ani nawet kilku godzin z dzieckiem bez przerwy. Żaden się do tego nie przyzna – w końcu powinniśmy to uwielbiać, sami tego chcieliśmy. Ale ile razy można układać tę samą układankę? (Rozochocony Pitu za diabła nie chce ułożyć czegoś innego). A już godzina układania w kółko tych samych puzzli z Puchatkiem powoduje, że nienawidzę tego wrednego, wciąż głupawo uśmiechniętego Misia i muszę pójść poczytać gazetę. Czytam i udaję, że nie słyszę, jak ktoś włącza kreskówkę. Kończy się „Tom i Jerry”, zaczyna „Klan na drzewie”.



Czas szybko biegnie i już po chwili jestem przekonany, że cały dzień układałem puzzle, a tylko na kilka minut urwałem się poczytać gazetę. Zaczyna się „Scooby”, a ja myślę, że jeszcze tylko chwila, tak miło czyta się o rozłamie w koalicji rządowej, choć na co dzień nudzi mnie to śmiertelnie. Jeśli alternatywą jest znowu ten uśmiechnięty Puchatek... decyduję, że przeczytam jeszcze o wzroście cen stali na świecie. Następnego dnia mogę przysiąc, że właściwie układałem tego misia non stop, a dzieci nawet na chwilę nie włączały telewizora.

Inni rodzice przecież też przysięgają, że telewizor cały czas jest wyłączony. No, może w niedzielę, jedna bajka. Może „Wieczorynka” – ale tylko jako wyjątek od reguły.

Siedzimy wszyscy na ławeczkach, hołubiąc naszą ponurą tajemnicę. Ale przecież wszyscy wiemy, kto to jest Tinky Winky i Dipsy. Żaden nierodzic tego nie wie, bo i skąd. A my wiemy. Znamy go na pamięć, ale publicznie się do tego nie przyznamy, za żadne skarby, choćby cały zespół prokuratorów usiłował wymusić na nas przyznanie się do winy.

Nie znam rodziców, którzy nie znalazły Teletubisiów, nie znam takich, którzy by lubili te wstrętne stworki. Nie znam dziecka, które nie zwariowałoby na ich punkcie i nie kochało szczerą miłością. To jest, przepraszam. Znam jedno – Pitulka, który przez ponad cztery lata okazał się dzieckiem całkowicie teletubisiowoodpornym, co przyjęliśmy westchnieniem ulgi. Niestety, Kudłata okazała się zupełnie nieodporna.

Nie wiem, gdzie je wypatrzyła – w końcu jesteśmy rodzicami uważnymi i staramy się nie wodzić dzieci na pokuszenie. Niemniej pewnego dnia oddała się na chwilę w sklepie i wróciła z kasetą z czterema stworkami.

– Kupimy Isie – stwierdziła tonem nieznoszącym sprzeciwu. Skąd wiedziała o Teletubisiach, pozostaje zagadką. Na nic zdały się próby zgubienia po drodze Isiów i nieostrożnego wypchnięcia ich z wózka. Kudłata przysssała się do nich jak ośmiornica i przy kasie machnęliśmy ręką: – A co tam, jedno Teletubisie nie czynią wiosny.

W domu okazało się, że jednak czynią.

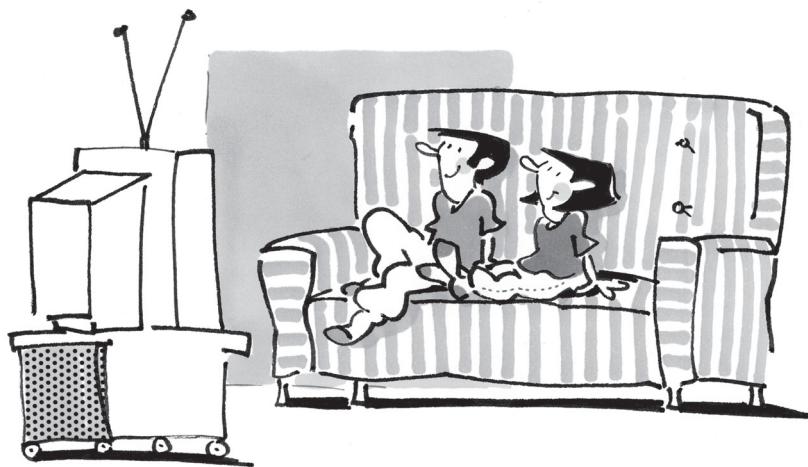
Z rosnącą zgrozą wpatrywaliśmy się w ekran, na którym skakały cztery kolorowe Isie. Nie bardzo mieliśmy wybór, Kudłata ryczała wielkim głosem, kiedy usiłowaliśmy umknąć z kanapy, wyjąć wtyczkę od telewizora albo choć zasłonić się gazetą. W ciągu dwóch dni wchłonęliśmy zabójczą dawkę Isiów i znaleźliśmy je na pamięć. Cóż, nie było to specjalnie trudne, bo jak wie każdy, nawet nieuważny oglądacz Isiów, godzinna akcja sprowadza się do tego, że cztery paskudne Isie budzą się, tulą, powtarzają mniej więcej dziewięćdziesiąt razy, jak się nazywają, śpiewają piosenkę i idą spać.

Niestety, Kudłata nie szła spać, ale przewijała kasetę wstecz, czego nauczyła się, kiedy stwierdziliśmy, że my tego nie potrafimy, i oglądała od nowa.

A to był dopiero początek.

Każda epidemia, jak wiadomo, zaczyna się rozprzestrzeniać i nie inaczej było z teletubisiówką. Następnego dnia zastaliśmy na kanapie Pitulka, który z zapamiętaniem śledził niesamowite wyczyny Isiów, polegające na zrobieniu Teletubisiowego kremu. Do tej pory Pitu oglądał wyścigi samochodowe albo Shrecka. Teraz beznadziejnie wpadł i powitał mnie stwierdzeniem:

- Jestem Dipsy.
- OK – powiedziałem odruchowo.



– Ja jestem Po. – Kudłata kiwnęła głową.

Przyjąłem to do wiadomości, jak również fakt, że kiedy zwołałem Pitu i Kudłatę na obiad, nikt nie przyszedł. Cóż, jestem rodzicem inteligentnym. Kiedy zwołałem: – Dipsy i Po, chodźcie, mamy obiadek! – przyszli oboje. Dipsy zwykle chciał kotlecika, a Po warzywka.

– Masz kotlecika – powiedziałem nieopatrznie Dipsy’emu. – A ty, Po – kalafiorka.

– Nie chcę kotlecika – nastroszył się Pitu. – Zabierz to, nie będę tego jadł.

– Ja też nie będę jadł – nasrożyła się Kudłata. – Nie chcę lafiolka.

Stuknąłem się w głowę.

– Hej, Tubisie! – zawołałem. – Obiadek. Dla ciebie, Dipsy, mam Teletubisiowy krem, a dla ciebie, Po, też Teletubisiowy krem – powiedziałem, wręczając im kotlecika i kalafiorka.

– O, pyszny ten krem – pochwalił Dipsy, pożerając kotlecika.

Odetchnąłem z ulgą, nie spodziewając się, że to dopiero początek.

– Ty jesteś Tinky Winky – powiedziała następnego dnia Po.

Monika została zaś Lalą – tego domyśliliśmy się sami i nawet nie trzeba było wrzasków Dipsy’ego zaniepokojonego tym, że Lala tak długo nie przynosi mu rano picia.

Nasza szczęśliwa isiowa rodzinka żyła zgodnie przez następnych parę tygodni. Cóż, podobno nawet do więzienia można się przyzwyczaić – byle poznać podstawowe reguły.

Reguły bycia Isiami nie były takie trudne. Po pierwsze, trzeba było uważnie oglądać bajkę. Ale ponieważ przeciętny Teletubiś wita się z innym Teletubisiem kilka minut, to naprawdę nie jest trudne.

– Heeeejo, Lala – szczerzył się z telewizora Tubiś.

– Heeeeejo, Lala – odpowiadała mu z kanapy Kudłata i trącała mnie łokciem.

– Heeeejo, Lala – wołałem i trącałem Monikę.

– Heeeejo, Lala – wołała Monika.

Tymczasem Lala w telewizorze obracała się, szczerzyła się jeszcze paskudniej i wołała:

– Heeeeeejo, Dipsy.

No cóż – nie będę pisać, co było dalej. W każdym razie po dziesięciu minutach, kiedy Tubisie już się przywitały, zaczęły się żegnać, co zajęło im kilkanaście minut, a mnie doprowadziło na skraj obłędu.

Wieczorem Po zażądała ode mnie stanowczo: – Opowiedz o Isiach.

Mogę porozmawiać z dzieckiem o przygodach Scooby Doo, ale, na miłość boską, co mam powiedzieć o przygodach Tinky Winky? Przecież te przygody polegały na tym, że wyszedł na spacer, kilka razy podskończył i wrócił, a reszta upiornej gromadki ucieszyła się i zaczęli się wzajemnie ścisnąć. Ile czasu można opowiadać taką historię? Okazało się, że pół godziny. Żaden normalny rodzic tego nie wytrzyma.

A dzieci siedziały jak zaczarowane.

Wredne stworki tymczasem wyszły ze swojego dziwaczного okrągłego domu. Jak ktokolwiek mógłby przypuścić, że zimny, okrągły hangar jest domem? W środku jak w celi Rywina. Tylko stół i łóżka – zresztą o wiele za krótkie.

Dzieci jednak siedziały jak zaczarowane.

A Teletubisie tymczasem podskakiwały, drapały się i generalnie sprawiały wrażenie grupy pacjentów dotkniętych chorobą świętego Wita.

– Ooooo, Isie, Isie – wrzeszczała moja córka, a ja wpatrywałem się szklanym wzrokiem w telewizor. Bohaterowie – zgraja skretyniałych stwórków z tikiem nerwowym – przeżywali tymczasem kolejne przygody. A to jeden zasnął, a reszta przez pół godziny go budziła. Bezskutecznie.

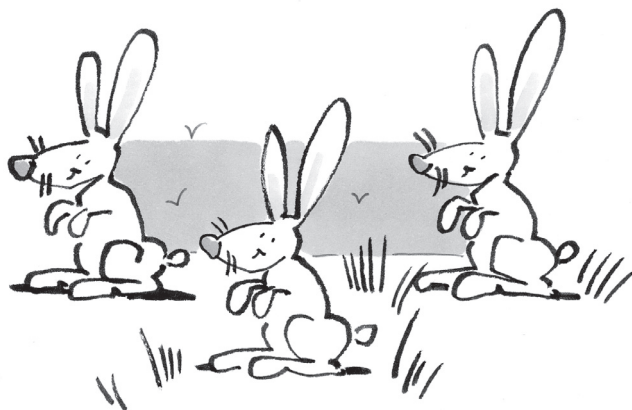
Kiedy indziej zepsuła się maszyna, która robiła Teletubisiom jedzenie. A one po kolei naciskały guzik w absurdalnej próbie naprawienia maszyny. Jak się okazało – udanej.

Po domu szwendał się odkurzacz Noo Noo, który sprzątał wszystkie śmieci produkowane przez potworki. Potworki zresztą śmieciły przepotwornie i zachodziłem w głowę, do czego serial ma przekonywać dzieci. Chyba do tego, że rodzice będą cały dzień jeździć jak Noo Noo i zbierać odpadki.

Tymczasem jednemu stworowi zapaliło się światełko i wtedy odkryłem, że na brzuchu mają zamontowane telewizory, na których leci właśnie film o dzieciach. W dodatku Teletubiś, na którego podbrzuszu szedł film, wydawał się wniebowzięty. Większego idiotyzmu nie widziałem.

Ale dzieci siedziały jak zaczarowane.

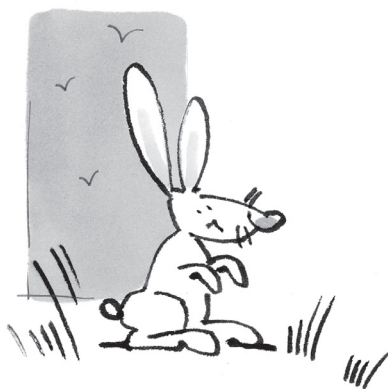
Po trawie kicały króliki (dlaczego właśnie króliki, a nie, powiedzmy, kury albo kotki?), rosły sobie kwiatki, a to wszystko w dekoracjach przyprowadzających o ból zębów. W dodatku na niebie świeciło słońeczko, które było wielkim bobasem, niby uśmiechającym się radośnie, ale wydawało mi się, że raczej złowrogo szczerzącym ząbki.



Laa Laa kocha króliczki.
Króliczki kochają Laa laa.
Ileż można zachwycać się
króliczkami? Pół godziny?

To nie mogła być prawda,
to zły sen. Ale dzieci siedziały
jak zaczarowane.

Jestem człowiekiem docie-
kliwym i postanowiłem sprawd-
zić, kto jest sprawcą moich
cierpień, i dowiedzieć się, skąd
się wzięły Isie.



„Dzieci żyją w świecie, w którym są otoczone przez głosy – z telewizji, radia, zza okna. Teletubisie to odzwierciedlenie tego świata – twierdziła twórczyni Teletubisiów, która nazywa się Anne Wood. – W taki sposób, żeby był zrozumiały i przyjazny dla dziecka.”

Czyli ten dziwny świat w telewizorze to ma być to, co widzi dziecko? – zachodziłem w głowę. Dla mnie to sen wariata i nie byłbym odosobniony. Kiedy Teletubisie weszły osiem lat temu na antenę w Wielkiej Brytanii, ktoś – zapewne zdesperowany rodzic – dopatrywał się w scenografii zachęcania do narkomanii, bo tylko ktoś na haju mógł wymyślić coś podobnego. A kiedy w jednym z odcinków Tinky Winky został przygnieciony spadającą literą „E”, sprawa była jasna. Teletubisie zachęcają do brania „Ekstazy”.

Ojcowskie sumienie uspokajają autorytety. Dzieci od Teletubisów nie zwariują.

„Film ma spowodować, że dzieci będą się czuły bardziej zadowolone i bezpieczne” – twierdziła Anne Wood.

Mam nadzieję, że wie, co mówi. W końcu była nauczycielką. A Andrew Davenport, który napisał scenariusze do wszystkich odcinków, jest psychologiem dziecięcym, więc też powinien znać się na rzeczy. Zanim ekipa przystąpiła do produkcji, podglądała setki dzieci.

Dlatego Teletubisie wszystko powtarzają po kilka razy, co doprowadza mnie do szału, a moje dzieci do ekstazy. Dlatego w tym filmie wszystko można przewidzieć. Zawsze będzie zabawa z odkurzaczem. W każdym odcinku przewijają się nawoływania do spania (w prawdziwym świecie nawoływają rodzice), a przecież dzieje się tyle ekscytujących rzeczy.

Ten świat zamieszkują króliki, gadające kwiaty, trochę ptaków (ale raczej gadających z *offu*).

Co może zrobić rodzic oglądający po raz dwudziesty ten sam film, w którym tak samo nic się nie dzieje?

Zaczęłam go analizować. W końcu teorii spiskowych można doszukać się nie tylko w kodzie da Vinci. Dowiedziałem się, że świat Teletubisów jest tybetańską mandalą oddaną w terenie przez okrągły dom, wyłaniający się z ziemi i otoczony czterema wzgórzami. Dlaczego właśnie mandalą? Aby asystować i pomagać w rodzeniu się „ja” u dziecka, rzecz jasna.

Dom wstrętnych lsiów ma cztery okna i cztery drzwi. Cztery, bo czterech bohaterowie, cztery osobowości, cztery kolory, co czyni razem

dwanaście. A jeśli dodać antenkę – trzynaście. Symbolicznego znaczenia trzynastki nie sposób opisać w kilku wierszach. Dość powiedzieć, że kiedy zgodnie z zasadą numerologii doda się jeden do trzech, ponownie wyjdzie cztery.

Przy dziesiątym obejrzeniu filmu mogę przysiąc, że każdorazowe wyjście Teletubisiów z domu symbolizuje narodziny i nowe życie, a dom to macica.

W domu mieszka Noo Noo – coś jak skrzyżowanie odkurzacza z żelazkiem – który opiekuje się Teletubisiami i dba, żeby w domu było czysto. To – według specjalistów – przejaw koegzystencji materiiżywionej i nieożywionej.

Tinky Winky – największy z całej bandy – symbolizuje błękit nieba i trójkąt na jego głowie jest symbolem myślenia. Ma czerwoną torbę – według jednych to oznaka jego ukrytego homoseksualizmu, ale są i tacy, co uznają to za dowód na jego hermafrodytną naturę. Nie wiadomo, czy Tinky Winky to On, czy może Ona.

Dipsy jest zielony, a jego naturę określa symbol falliczny na głowie (odnoszący się do słonecznego pala w krainie Tubisiów). Jest więc niewątpliwie rodzaju męskiego. Zielony tak jak Zielony Jerzy – postać wspomniana przez Frazera w klasycznej już „Złotej Gałęzi”. Według Frazera Zielony Jerzy prowadził procesję, która miała wyłagać plony. Zielony Dipsy to symbol regeneracji, a potwierdza to fakt, że uwielbia króliki. Według brytyjskiego sondażu jest jednak najmniej popularny z czwórki Teletubisiów.

Lala to typ kierujący się intuicją – koloru żółtego. Laa Laa uwielbia tańczyć, a w tańcu można dostrzec zarówno elementy wywiedzione z katolickiej mszy, jak i buddyzmu, a nawet rytuałów masońskich. Lala jest prawdopodobnie rodzaju żeńskiego.

Najmniejszy Teletubiś to Po. Po jest irracjonalny. Każdy jego ruch to ruch całego ciała. Kolor czerwony to krew. Po najmniej mówi, tańczy inaczej niż Laa Laa – jest to styl raczej intuicyjny, a nie wyuczony. Często też jego taniec kończy się upadkiem. Po był jeszcze bez płci, podobnie jak Tinky Winky – ale więcej w nim cech męskich.

Przynależność płciowa Teletubisiów jest zastanawiająco tajemnicza. Pewien brazylijski nauczyciel przeprowadził na własną rękę badania i stwierdził, że dzieci nie miały pojęcia, który z Teletubisiów jest chłopczykiem, a który dziewczynką – co, według niego, mogło mieć wpływ na kłopoty z akceptacją własnej płci u maluchów.

Dowiedziałem się też, że Teletubisie podobno powstały jako zupełnie inny program, kręcony dla działu przyrodniczego ze słynnym przyrodnikiem i filmowcem Davidem Attenborough w roli narratora. Zawziętości ramówki sprawiły, że program trafił do pasma dziecięcego dla maluchów. Trzeba było wyciąć filmowca, dokręcić trochę klatek i przede wszystkim usunąć scenę śmierci Po przejechanego przez odkurzacz Noo Noo – to nie spodobałoby się dwulątkom (bo to do nich adresowany jest program).

Dwulątki nie mają pojęcia, że Tinky Winky jest jedynym Teletubisiem zaatakowanym z ambony. Niezmiernie popularny amerykański kaznodzieja Jerry Falwell oskarżył Tinky'ego, że jest ukrytym gejem i promuje homoseksualizm, a pomaga mu w tym jego antenka w kształcie trójkąta (znany symbol gejowski). Na wszelki wypadek zmieniono aktora wcielającego się w tę postać.

Podzieliłem się tymi wszystkimi rewelacjami z Moniką. Popatrzyła na mnie błędnym wzrokiem i zapytała, czy ze mną wszystko w porządku.

Tymczasem nasza kolekcja filmów o Lsiach nie mieściła się już w szafce (na wszystkich Tubisie robiły to samo – przynajmniej według mnie, zaś moje dzieci z niewiadomych przyczyn doskonale orientowały się w zawłościach intryg w poszczególnych odcinkach). Kolekcja filmów urosła do sporej sterty, aż wszystkie Lsie pojechały do dziadków, którzy nie mieli pojęcia, że zamiast ukochanych wnuczków przyjechali do nich Po i Dipsy.

- Ja Po – powiedziała babci Po.
- A ja jestem Dipsy – przedstawił się Dipsy.
- A ja kto jestem? – niebacznie zapytała babcia Nina.
- Jesteś Lala – powiedziała Po.
- Ty głupia, to nie Lala, tamto Lala – palnął ją w głowę Dipsy, pokazując kobietę znaną wcześniej jako Monika.

– Ja Po. To Lala, a to Tinky Winky – zdenerwowała się Po, wskazując na babcię i dziadka.

Przyjęliśmy degradację honorowo. Nareszcie przez kilka dni nie musieliśmy oglądać Isiów. Przez kilka dni znowu byliśmy sobą – aż do wyjazdu. Dziadkowie za to, a właściwie Tinky Winky i Lala, chodzili trochę zmęczeni.

– Ty nie Lala, ty babcia – powiedziała Po, kiedy wyjeżdżaliśmy. – To Lala – dodała, wskazując na Monikę.

– Ja Dipsy – pokiwał głową Dipsy. – A ty Tinky Winky – dodał, wskazując na mnie.

Wakacje się skończyły.

Wsiedliśmy do samochodu.

– Śpiewaj, Winky – rozkazała moja córka Po.

– Tinky Winky, Dipsy, Lala, Po mówią wam: „Heeeeeejooooo” – zacząłem. Przed sobą mieliśmy czterysta kilometrów do Warszawy.





Jak wychować grzeczne dziecko,

czyli pragnienie nie ma szans

Podobno najlepiej jest wychowywać przykładem. I to własnym. Zawsze z uwagą przypatruję się mamie Karolka na placu zabaw, która cały czas uczy swojego synka, że nie można krzyczeć, trzeba być grzecznym i nie można obrażać innych. Zaraz potem wrzeszczy na tatę Karolka i nie widzi w tym nic niezwykłego.

Po prostu – dzieci powinny być grzeczne, ciche, doskonale wychowane. Rodzice zaś są dorośli, więc mogą oszukiwać, wrzeszczeć i się obrażać, a potem nie przeproszać.

Rzecz jasna, zrobiliśmy ten sam błąd co wszyscy. Uznaliśmy, że dzieci doskonale wychowują się same i będą słuchać naszych złotych rad, i absolutnie nie będą też zwracać uwagi na rodziców.

Zacząłem się w pewien poniedziałek. Jechałem z Pitulkiem do sklepu i na drodze stanęło nam skrzyżowanie. Zapaliło się żółte światło, więc po chwili wahania wcisnąłem gaz i przejechałem – spieszyłem się, znajomi mieli przyjść lada chwila, a nic nie było gotowe. Pitu natychmiast wychwytił przewinienie.

– Nie można przejeżdżać na żółtym świetle, trzeba się zatrzymać – upomniał mnie surowo ze swojego fotelika niczym instruktor na egzaminie.

– Masz rację – przytaknąłem nieuważnie, zaabsorbowany kierowaniem.

Ale to był dopiero początek.

Następnego dnia Pitu przytapał mnie na przechodzeniu w niedozwolonym miejscu – przyznaję, nie chciało mi się spacerować aż do przejścia. Całe sto metrów, a ulica była puściutka.

– Przełazimy – zdecydowałem. Rozejrzałem się jeszcze raz i już byliśmy po drugiej stronie.

– Przechodzimy przez ulicę tylko po pasach, tak mówiła mama – przypomniał surowo Pitu, grożąc palcem.

– No tak, ale nic nie jechało – tłumaczyłem się odruchowo.

– A jakby wyjechał samochód nagle, to co? – zapytał Pitu.





– A gdyby twoja matka wyjechała, to co? – odpowiedziałem Bareją, ale Pitu nie załapał i powtórzył dobitnie:

– Trzeba przechodzić po pasach.

Słowo daję, sam nie miałem pojęcia, że jestem takim anarchistą. Następne dni udowodniły bez reszty, że jestem człowiekiem bez zasad. Do tej pory miałem się za raczej porządnego faceta, teraz Pitu łapał mnie co chwila na mniejszych i większych przewinieniach.

– Tata, nie zakłada się tak buta. – Marszczył nos z dezaprobatą, kiedy usiłowałem wepchnąć nogę bez rozwiązywania sznurowadła. – Trzeba go rozwiązać. Inaczej but się zepsuje, zapomniałeś?

– Zapomniałem, dziękuję bardzo – odpowiadałem i potulnie rozsznurowywałem buty.

– Tata, nie pije się z butelki, weź szklaneczkę i napij się ze szklaneczki – napominał mnie Pitu.

– Jasne, już biorę – uśmiechałem się promiennie, klnąc pod nosem.

– Tata, tu był znak, nie wolno szybko jechać – przypominał na drodze.

– Tata, nie rusza się na żółtym świetle, poczekaj, aż zapali się zielone.

– Tata, to nie twoje miejsce parkingowe, twoje jest gdzie indziej.

Obrzuciłem Pitulka morderczym spojrzeniem, bo wygłosił tę uwagę w obecności kilku sąsiadów, którzy zaczęli się bacznie przyglądać.

– To tylko tak na chwilę – tłumaczyłem szeptem. – Zaraz przestawię samochód.

– Przystaw teraz, nie wolno tutaj stać – naburmuszył się Pitu.

– Jakie rezolutne dziecko – ucieszyła się sąsiadka z dołu.

– Tak, niezwykle – warknąłem.

– I dobrze wychowany – ucieszyła się pani. – Ucz tatusia, ucz.

Wróciłem do domu i padłem na kanapę.

– Ja już nie wytrzymam – poskarżyłem się Monice. – Człowiek nie jest stworzony do tego, żeby być praworządnym na co dzień. Młody mnie wykończy, ratuj.

Leczyłem skołataną nerwy na kanapie, a Monika wyruszyła na miasto z dziećmi. Wróciła dziwnie blada i jakby chudsza.

– Jak było? – zainteresowałem się.

– Dobrze, tylko że zapomniałam biletów i portfela. Musieliśmy przejechać jeden przystanek, a Pitu cały czas wył, że nie mam biletu, a bez biletu jeździć nie można i on wysiada. W biegu. I przypomniał sobie, że rok temu też jechaliśmy bez biletu, i zaczął płakać, że mama jeździ na gapę. Wiesz, jak na mnie ludzie patrzyli?

Pokiwałem smętnie głową. Najgorsze było to, że Pitu bezbłędnie wychwytywał, kiedy nasze rady były czysto teoretyczne.

– Nie kłamie się cioci – pouczałem z ambony mojego syna, usiłując go wychować.

– A ty przecież kłamałeś – wzruszał ramionami Pitu.

– Tylko raz czy dwa razy – zbagatelizowałem sprawę. Już miałem rozwinąć teorię głoszącą, że co innego skłamać i powiedzieć, że bardzo się cieszymy, że ciocia wpadnie (choć tak naprawdę wolelibyśmy, żeby została u siebie), a co innego powiedzieć, że nie wlało się jej do buta wody (choć się wlało), ale machnąłem ręką. Nawet samego siebie nie mogłem przekonać, a co dopiero Pitulka.

– No więc nie wolno kłamać, chyba że bardzo rzadko albo kiedy nie ma innego wyjścia – wysnułem całkiem nową regułę.

– Eeeee, daj spokój – powiedziała Monika. – Przeciężny człowiek kłamie kilkanaście razy dziennie. A jak wyglądam?

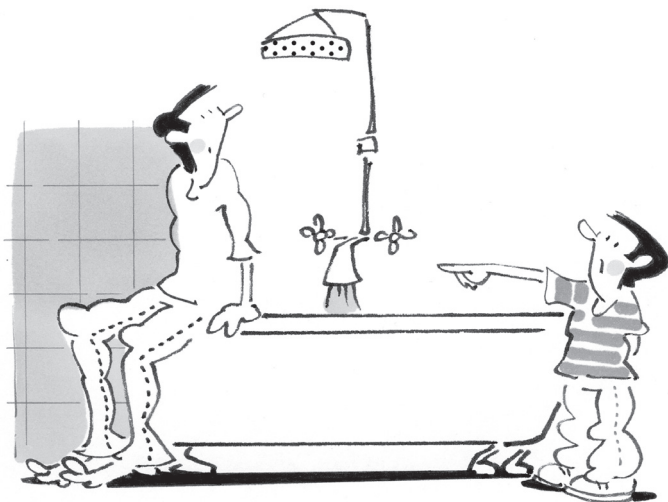
– Super – powiedziałem odruchowo.

– No sam widzisz. Wyglądam okropnie, nie mam makijażu i jestem niewyspana, ale ty skłamałeś.

Wcale nie zrobiło mi się lepiej, zwłaszcza że troska Pitulka o rodziców zaczęła powoli przeradzać się w manię.

– Nie puszczaj wody – ryczał i zakręcał kran, kiedy szykowałem sobie kąpiel.

– Ale dlaczego? – dziwiłem się.



– Woda się przeleje i zatopi mieszkanie, i wszyscy się utopimy – tłumaczył Pitu, baczenie lustrując wannę, w której zebrano się ze dwa centymetry wody. – Tyle wystarczy.

– Jestem duży, nie wystarczy – argumentowałem i odkręciłem kran.

– Zaleje, zaleje! – ryczał Pitu i zakręcał kran. – Nie można rozlewać wody.

Po tygodniu byłem wrakiem człowieka. Być może miało to coś wspólnego z tym, że Pitu uwielbiał strofować mnie w obecności innych.

Na widok kioskarki, sąsiadki albo bufetowej szybko chowałem się za gazetą i przechodziłem na drugą stronę ulicy.

One, niestety, wiedziały wszystko o moich wyczynach. Pitu nigdy nie omieszkała przypomnieć, kto źle zaparkował, kto nie zapłacił rachunku za telefon i kto machnął ręką na mycie zębów i powiedział: – A co tam, jak raz nie umyję, to nic się nie stanie.

Tym kimś zawsze byłem ja i one o tym wiedziały.

Zapewne pisałbym te słowa w celi obitej miękkim pluszem, gdyby nie to, że Pitu, zajęty tropieniem moich przewin, popełnił błąd.

Zjadł cukierka i wyrzucił papierek na ulicę.

– Ładnie to tak śmiecić? – zapytałem.

– Ja? – zdziwił się Pitu, który dosyć się naoglądał telewizji, żeby się z niej nauczyć, że nieważne, co zrobisz – idź w zaparte i udawaj, że to nie ty, a nic ci nie udowodnią.

– Tak, ty – potwierdziłem.



– To ty ziobieś! Pitu ziucił – potwierdziła Kudłata.

Od tej pory Kudłata miała go w garści.

– Tata, a Pitu wylał soczek – informowała mnie rano. – A potem nachlapał na podłogę.

– Wcale nie! – ryczał oburzony Pitulek.

- Ty, ty, ty! – podskakiwała Kudłata.
- Następnego dnia poszła jeszcze dalej.
- Pitu, a kochasz tatę? – indagowała.
- Kocham – mówił Pitu.
- A mamę kochasz? – pytała dalej.
- Kocham mamę.
- Pitu powiedział, nie kocha mamy, nie kocha taty – przylatywała na skargę.
- Nie mówiłem! – ryczał Pitu siny z wściekłości. – Kocham mamę, kocham tatę.
- Ja kocham mamę i tatę. Pitu nie lubi – uśmiechała się słodko moja córka.

Pierwsza miłość,

czyli wizyta

Gdzieś w VI klasie podstawówki zauważyłem ze zdziwieniem, że na świecie prócz chłopaków, z którymi można pograć w kapsle albo wymienić się żołnierzami, istnieją również inne stworzenia. Nieznacznie mniejsze, wciąż chichoczące, przeważnie mające długie włosy. Dziewczyny.

Dziewczyny pojawiły się w życiu Pitulka, kiedy poszedł do przedszkola. Sądząc z lektury forów internetowych, decyzja o wyborze tegoż bywa równie trudna, co wybór pracy albo studiów. Cóż, w przypadku Pitulka była błyskawiczna.

Pewnego dnia Pitu zaczął się nudzić w domu i powiedział, że chciałby pójść do przedszkola. Objechaliśmy z nim kilka najbliższych przedszkoli. W pierwszym Pitulkowi nie podobało się, bo dzieci było za dużo, w drugim nam się nie podobało, bo Pitulek dostał rozkład zajęć, z którego wynikało, że w ciągu jednego dnia przejdzie przez rytmikę, logikę, podstawy arytmetyki, angielski, muzykę i uznaliśmy, że to dobry program, ale za kilka albo kilkanaście lat.

– Wiedzą państwo, rodzice nalegają, by było dużo zajęć – szepnęła pani przedszkolanka.

Rzeczywiście. Wszyscy rodzice stawiali się po dzieci w służbowych limuzynach i ciemnych garniturach lub kostiumach i nie pasował tu ani Pitulek, ani my, ani nasz samochód.

Trzecie przedszkole było malutkie, przytulne i spodobało nam się, bo pan wychowawca robił fikołki na dywanie.

– Zostajemy – stwierdziliśmy.

– A chcą państwo zobaczyć program? – zapytała wychowawczyni.

– Nie, podoba nam się – odrzekliśmy zgodnym chórem.

W ten sposób Pitu został przedszkolakiem, który stawał rano przy łóżku i narzekał, że ja wciąż śpię, on chętnie by już poszedł.

– Co go tak ciągnie? – zastanawialiśmy się z Moniką.

W tym przedszkolu też był angielski, ale nie chodziło o to. Zresztą wiele razy indagowaliśmy naszego syna, czy czegokolwiek się nauczył, zanim uciął nasze pytania stanowczym stwierdzeniem:

– To bardzo trudno się tak czegoś nauczyć po angielsku.

Nie sposób było odmówić mu racji.

Wreszcie odkryliśmy. Chodziło o dziewczyny. Pitu co rano szykował sobie nową koszulkę, a po południu witał mnie bez entuzjazmu:

– O, już jesteś? Tak szybko? Bo ja się jeszcze bawię.

Wreszcie zastrzelił mnie stwierdzeniem:

– Podoba mi się Wiktoria.

Wybałuszyłem oczy. Podobają mu się dziewczyny? Przecież ma cztery lata.

Dziewczyny mogą być naprawdę interesujące – do takiego wniosku doszedłem po szkolnej dyskotecie, gdy jedna z nich wyciągnęła mnie z tłumy (Ja, rzecz jasna, niby się wrywałem i wrzeszczałem, żeby sobie poszła, bo lubię stać pod ścianą. Niemniej kiedy już mnie wyciągnęła, zauważyłem, że fajnie jest tańczyć, może za bardzo nie da się pogadać o samochodach, ale jednak kobiety mają pewne zalety. Ma się rozumieć, nie powiedziałem tego na głos. Ta dziewczyna gotowa była sobie Bóg wie co pomyśleć, a kumple by się ze mnie śmiali. A jednak kilka dni później zaprosiłem ją na oranzadę – akurat żaden chłopak mnie nie widział).

No dobrze, przyznaję się, że pewna Małgosia była też równą kumpelą na wakacjach nad morzem i kiedy nasi rodzice szli na wieczorek zapoznawczy – my siedzieliśmy po ciemku w domku kempingowym i trzymaliśmy się za ręce. Miałem wtedy siedem lat i przysięgam, że do niczego innego nie doszło.

Wcześniej związków z kobietami nie utrzymywałem i choć zdawałem sobie sprawę, że Pitu pewnego dnia wpadnie z narzeczoną i mruknie jak to on, że ewentualnie możemy sobie zarezerwować czas na przyszły weekend, bo bierze ślub – to jednak spodziewałem się takiej sytuacji najwcześniej w 2020 roku.

Tymczasem Pitu wrócił z przedszkola i najwyraźniej był wściekły.

– Picie! – rzucił w przestrzeń, z trzaskiem przysuwając krzeselko do stołu.

Popatrzyliśmy z Moniką na siebie.

– Mówiłem: picie! – huknął powtórnie i rzucił butelką w moją stronę.

Oho, coś poszło nie tak i Pitu był wkurzony na świat. Ale co mogło się stać? Pitu był człowiekiem nerwowym i wkurzyć go mogło.... ba, mogło go wkurzyć właściwie wszystko. Doskonale pamiętaliśmy, jak się zirytował, kiedy pani w przedszkolu nie dość głośno pochwaliła jego rysunek i w związku z tym mogło powstać podejrzenie, że nie jest najdoskonalszym malarzem na świecie.

Albo gdy z naciskiem podkreślił, że chce założyć bluzę ze Spidermanem, bo na pewno spodoba się kolegom, a bluza nie była jeszcze wyprana. Wrócił wściekły jak Napoleon spod Moskwy. Dopiero po dwóch dniach udało się od niego wydobyć przemyconą półgębkiem informację, że nikt nie zwrócił na bluzę uwagi, bo chłopaki ekscytowali się wielką koparką, która na placu obok przedszkola robiła olbrzymi dół i przenosiła rury.



No i oczywiście zdarzył się dzień, kiedy Pitu wrócił nabuzowany jak imbryk i oświadczył, że nigdy w życiu nie pójdzie do przedszkola.

– Bo? – zapytała przytomnie Monika.

Pitu machnął wówczas dłuższą przemowę, z której wynikało, że nikt go nie lubi i to już koniec, a poza tym wszyscy uważają, że jest głupi.

Dyskretnie przeprowadzony wywiad nie potwierdził tej wersji i okazało się, że sprawa wygląda jak w radio Erewań.

– Kolega powiedział Pitulkowi, że jest głupi, a Pitulek jemu – że jest jeszcze bardziej głupi. Potem kłótnia się zeskalowała, bo kolega stwierdził, że Pitu jest głupi jak ławka, a Pitu na to odparł, że to tamten jest głupi



jak worek. Po czym obaj się zgodnie popłakali i stwierdzili, że ich noga nie postanie w przedszkolu, gdzie mówi się o nich straszne rzeczy.

Tak, to były poważne problemy w życiu Pitulka. Ale co stało się tym razem?

– Nic się nie stało – burknął zapytany Pitu. – Picie chcę, przecież mówiłem już. Ile można czekać?

Zły Pitu to koszmar z ulicy Wiązów albo i gorzej. Pitu, jak to mężczyzna, nigdy o uczuciach nie rozmawia, więc postawiliśmy na sprawdzoną taktykę. Zostawiliśmy go z problemem i wróciliśmy do niego jakby nigdy nic po bajce.

– Pewnie pani w przedszkolu powiedziała ci coś niemiłego – zaczęła Monika.

– Nie powiedziała – burknął Pitu.

Westchnąłem. A więc znowu gramy w dwadzieścia pytań.

– Bardzo mnie ciekawi, co było na obiadek – zainteresowałem się.

– Może znowu te niedobre warzywka?

– Nie, dobre kotleciki były – mruknął Pitu.

Aha, dwa pytania mieliśmy za sobą.

– Na pewno wszystkim podobała się twoja koszulka – indagowała Monika.

– No – mruknął Pitu.

– I jestem absolutnie przekonany, że biegasz szybciej niż Marek – podesunąłem.

– Mhm – mruknął Pitu.

Po kilku minutach miny nam się wydłużyły. Niewątpliwie mieliśmy przed sobą skrzywdzonego przez los czterolatka. Ba, ale jak tu sprawdzić, jaki los go doświadczył? Pewnie próbowalibyśmy wyciągnąć informacje do tej pory – eksperymentując z najbardziej absurdalnych stron – byliśmy właśnie przy bucikach i zastanawialiśmy się, czy może jest z nimi coś nie tak, kiedy Pitu nas zaskoczył.

– Nie usiadła obok mnie – mruknął zezłoszczony.

Aha, byliśmy w domu. Teraz pozostawało się tylko dowiedzieć, kto nie usiadł koło Pitulka.

– O rany, naprawdę nie usiadła – wzruszyłem się, siadając obok Pitu. Pitu, jak to facet, rzadko odpowiadał na pytanie zadane wprost. Trzeba było bizantyjskich intryg, żeby wydobyć z niego, co się stało.

Wreszcie po pięciu minutach mieliśmy imię. Obok Pitulka nie usiadła Anita.

Zamknęliśmy się z Moniką w łazience i zrobiliśmy szybki przegląd dziewczynek w przedszkolu.

– Anita to ta blondynka z loczkami – twierdziłem.

– Nie, to ta brunetka obcięta na pazia – przekonywała Monika.

Wróciliśmy do Pitu. Siedział ponury jak kwoka, której nie udało się znieść jajka.

– Ja jej powiedziałem, żeby usiadła obok mnie, a ona usiadła obok Marka – powiedział Pitu sam z siebie, niepytany.

- Mhm. – Pokiwałem głową. – A z kim się bawiła?
- Też z Markiem. I jak poszliśmy na spacer, to szła z nim za rękę – rzucił Pitu. – Idę teraz do pokoju i będę sobie w nim siedział – powiedział i poszedł.

Zostaliśmy sami i spojrzeliśmy po sobie bezradnie. Co mieliśmy zrobić z czterolatkiem, który najwyraźniej zakochał się w Anicie, a może w Wiktorii, a być może w obu naraz, a one z jakichś niewyjaśnionych powodów wołały Marka, co biegał wolniej niż Pitu. Mogę dać głowę, bo Pitu pokazał mi, że Marka bierze o kilka długości, a na dodatek szybciej kręci się na karuzeli. Wydawałoby się, że to powinno przekonać Wiktoria bądź Anitę albo obie naraz – niestety, nic z tego.

Gdyby miał kilkanaście lat... tak, gdyby miał kilkanaście lat, sytuacja może byłaby prostsza. Pewnie też zamknąłby się w swoim pokoju i ciężko przeżywał porażkę, pewnie też by nie chciał o tym gadać, no ale przynajmniej mógłbym wziąć go na męską rozmowę. Ale rozmawiać o miłości z czterolatkiem?

Odłożyliśmy rozmowę na następny dzień. Zwłaszcza że szliśmy z wizytą.

Trochę obawialiśmy się tej wizyty. Pitu widział Julkę raz w życiu. Kilka lat temu, kiedy sam ledwo co pełzał, Julka spoglądała na niego z wyższością, bo potrafiła już siedzieć. Puściliśmy oboje na dywan, głupio sądząc, że skoro są niemobilni, to krzywdy sobie nie zrobią.

Po kilku minutach przywołał nas wrzask. Ryczeli oboje i trzeba było talentów niemal Sherlocka Holmesa, aby odkryć prawdę. Winowajcą był Pitu, który specjalnie dla Julki nauczył się zręcznie pełznąć, i wyrwał jej jedyne włosy z głowy, którego nadal ścisnął w ręce.

To było kilka lat temu i wątpię, żeby to zapamiętały, ale na wszelki wypadek przypomniałem Pitulkowi, że konflikty załatwia się buzią, a nie rączką i nóżką, a Kudłatej – że nie zjada się elementów wyposażenia wnętrza, należących do innych ludzi.

Julcia obejrzała Pitulka z daleko posuniętą rezerwą. Pitu ledwo rzucił na nią okiem. Rozsiadł się w kuchni i na propozycję pobawienia się powiedział: – Nie.

Julcia nadal go ignorowała, a jej rodzice opowiadali, że uwielbia się bić, choć nic na to nie wskazywało.

Po kwadransie Pitu dał się namówić na przejście do pokoju Julki, usiadł w kącie z samochodzikiem i zapowiedział, że będzie tu siedział.

Julka nadal nie zwracała na niego uwagi.



Pewnie do dziś nie miałbym pojęcia, co się stało, gdybym kilkanaście minut później nie zakradł się i nie popatrzył przez szparę.

Julka skradała się do Pitulka z wielkim samochodem, którym walnęła go z tyłu w głowę. Pitu potarł się po głowie i udał, że nie zauważył. Julka rozejrzała się i przytargała krzesło, które zwała na Pitulka. Pitulek strząsnął z siebie krzesło, wstał i ruszył na Julcię.

Julka wyprowadziła celne kopnięcie w brzuch i serię krótkich sierpowych na głowę.

Pitu zastonił się lewą ręką i szedł na zwanie. Walnął Julkę bykiem. Przewróciła się na mały stolik i razem z nim walnęła w ścianę. Wstała i ugryzła Pitu w rękę. Pitu złapał ją drugą ręką za włosy i zaczął ciągnąć po podłodze, ale wtedy Julka kopnęła go w tyłek i mój syn padł. Zaraz wstał, bo oberwał szyną z kolejki, a sam rzucił w Julcię swoim butem i trafił w nos.

Patrzyłem zafascynowany i po chwili cicho wycofałem się do salonu.

– Bawią się? – zapytała Monika.

– Hm, w pewnym sensie – chrząknąłem.

Dzieci pojawiły się po kilku minutach, trzymając się za ręce. Do końca dnia były nierozłączne. Wieczorem Julcia czule obejmowała Pitulka za szyję.

– Przyjedziecie jeszcze? – dopytywała się.

Pitulek długo machał na pożegnanie.

– Fajnie było – sapnął z przekonaniem, drapiąc się po głowie.

Wymacałem mu na czubku głowy sporego guza.

– Lubisz Julcię? – zapytałem.

– Tak – potwierdził z przekonaniem. – Lubię ją najbardziej. Ona jest fajna jak chłopak.





Jak rozmawiać z dziećmi,

czyli precedens

Jako rodzic nie wiedziałem, że wszystko, co mówię, zostanie zapamiętane i wykorzystane przeciwko mnie.

Jako zapalony widz amerykańskich dramatów sądowych wiedziałem, że precedens to rzecz ważna.

Mamy, powiedzmy, nieszczęsną dziewczynę, która w obronie własnej zabiła napastnika przy okazji szkolnego wyjazdu nad morze i pieczenia ziemniaków. Już, już wydaje się, że ambitny prokurator zapuszkuje biedne dziewczę na dziewięćdziesiąt dziewięć lat z możliwością przedterminowego zwolnienia po siedemdziesięciu pięciu, gdy pojawia się Precedens.

– Stop, stop! – woła młody, zdolny adwokat. – W sprawie Smith kontra MacArthur w 1879 roku mieliśmy precedens. Nie można sądzić dziewcząt do dwudziestego pierwszego roku życia, które zamordowały napastnika przy pieczeniu ziemniaków.

W Polsce, niestety, precedensów sądowych nie mamy. Nie wiedzą o tym jednak dzieci. Jako rodzic czuję się codziennie jak prokurator na sali sądowej, kilkanaście razy dziennie ośmieszany i zaganiany do kąta przez parę bezczelnych młodych adwokatów, obdarzonych fenomenalną pamięcią.

– Tatusiu, tak bardzo chce mi się pić, kup mi soczku – prosi grzecznie Pitulek.

Ha, człowiek bezdzietny nie zobaczyłby w tej prośbie żadnego podstępku. Ja też długo nie widziałem. Przecież wydawałoby się, że po prostu kupuję spragnionemu dziecku picie.

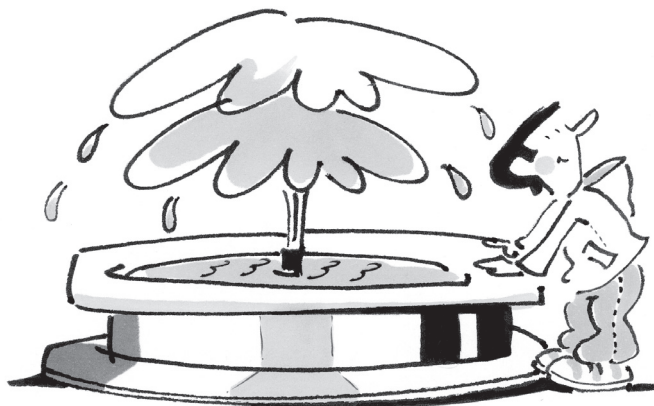
– Uuuuu, daj! – wyrывa się przy następnym sklepie Kudłata i wali w szybę, za którą jest batonik.

Kupujemy ten batonik i idziemy dalej, do fontanny, gdzie Pitu pyta słodkim głosem:

– Tata, a mogę włożyć paluszek?

Sprytnie to sobie wymyślił, jak już włożył jeden paluszek, to za nim pójdzie cała ręka. Dzieci są w końcu mistrzami manipulacji.





- A mogę włożyć nogę? – pyta Pitu.
- Zwariowałaś? – dziwię się uprzejmie.
- Ale tylko trochę – upiera się Pitu.

A co tam, jest ciepło, niech włoży nogę.

- W porządku, ale zdejmij sandałki i podciągnij spodnie – mówię.

Gdybym wiedział, że wszystko, co mówię, zostanie zapamiętane i w odpowiednim czasie wykorzystane przeciwko mnie...

Wracamy. Dzieci truchtają chodnikiem, a my jeszcze nie wiemy, że to sala sądowa i za chwilę nasza strategia wychowywania legnie w gruzach.

- Daj ciasto, ciasto daj – ciągnie mnie za nogawkę Kudłata.
- Daj jej ciasto – kiwa głową Pitu. – Mama kupuje jej tu ciasto.
- Kupiłaś? – zerkam na Monikę.
- No, kiedyś, chyba ze trzy miesiące temu – tłumaczy się moja żona.
- A mi kup mały samochodzik. Zawsze tu kupujesz Pitulkowi mały samochodzik – nalega mój syn.
- Kiedyś kupiłem – bronię się. Jak on to zapamiętał? To było rok temu. – Ale tylko raz.
- Nie raz, zawsze – marszczy brwi Pitu. – To dlaczego wtedy kupiłeś, a teraz nie?

Tu mnie ma. Za Boga nie pamiętam, dlaczego kupiłem. Pewnie mnie wykończyły i miałem chwilę słabości. Ale jeśli wtedy kupiłem, to dlaczego teraz nie kupię? Patrzę błagalnie na Monikę. A nuż coś wymyśli?

Próbujemy negocjacji, ale Kudłata pada na ziemię, zalewając się łzami, a Pitu zawodzi:

- Tylko jeden mały samochodzik daj.



Poddajemy się. Ruszamy do domu. Po drodze kupujemy jeszcze soczki, cukiereczki, bułeczkę i krakersy oraz taplamy się w fontannie, wycieramy o stare liście i przytulamy do siebie. Na wszystko miały precedens.

Wieczorem próbuję zastosować zasadę precedensu do położenia dzieci spać.

- Myjemy ząbki! – nawołuję na puszczy. – Wczoraj myłeś.
- Nie myłem. – Pitu patrzy na mnie jak na głupiego.
- I idziemy spać. Zawsze o tej porze byliście już w łóżkach.

Pitu, który właśnie goni wrzeszczącą Kudłatą, staje na chwilę i patrzy na mnie z politowaniem.

- Mama pozwoliła mi się bawić wieczorem i nie myć ząbków.

Patrzę na Monikę i już wiem.

- Kiedyś, jak był chory, ale tylko raz – mówi Monika.

Precedens.

Winda to straszne miejsce, bowiem nie ma z niej ucieczki. Zestresowany rodzic ciągnący za sobą swoje pociechy ma szansę na otwartej przestrzeni. Ma szansę nawet w sklepie. Może umknąć cichaczem, kiedy dzieci zdewastują regał, albo po prostu wpatrywać się w skupieniu w sufit, kiedy kopią sprzedawczynię, udając, że to nie jego dzieci. Wielokrotnie widziałem takich rodziców i dobrze ich rozumiem. Psychologia od dawna zna takie przypadki – nazywa się to wyparciem ze świadomości. Wystarczy pamiętać, że dzieci są słodkie i kochane. Słodkie i kochane dzieci nikogo nie kopią. A więc to, co widzę kątem oka – że plują na sprzedawczynię – nie może być prawdą.

Ba, taki rodzic może nawet kiwać głową i wzdychać: co to za wychowanie, za moich czasów to było nie do pomyślenia. Niestety, w windzie sprawa ma się zupełnie inaczej. Z windy nie da się uciec, a udawanie, że dzieci należą do kogo innego, nie wypada przekonująco.

No, ale do rzeczy. Dzień zapowiadał się wspaniale, a Pitu i Kudłata już stali przy drzwiach i niecierpliwie dreptali w miejscu:

- No chodźmy już, tato – ponaglał Pitu.
- Oćmy, oćmy! – pokrzykiwała wojowniczo Kudłata.

No to poszliśmy, po zwyczajowej walce o to, kto przywoła windę, z której Pitu wyszedł ze śladami małych zębów na dłoni, a Kudłata z od-ciskiem większej piąstki na czole, wsiedliśmy do kabiny. Winda zatrzymała się piętro niżej, a drzwi otworzyły się, wpuszczając parę w średnim wieku.

Dzieci przestały wymieniać argumenty siłowe i zwały szeregi.

– Ta pani jest bardzo gruba – zawiadomił mnie Pitu scenicznym szeptem.

Zerknąłem na sufit po krótkim wahaniu, czy powinienem to komentować. Jest pewien rodzaj uwag, z którymi nie bardzo wiadomo, co zrobić. To była właśnie jedna z nich.

Istotnie – pani była bardzo gruba, ale potwierdzanie albo zaprzeczanie nie leżało w moim interesie.



– Pan fuj – skomentowała Kudłata po zlustrowaniu towarzysza podróżny.

No cóż, gotowy byłem się z nią zgodzić, niewątpliwie panu i jego pstromu kożuszkowi przydałaby się wizyta w pralni i łazience, niemniej nie była to informacja, którą gotowy byłbym się z nim podzielić. Jak mawiała mała Mi, mały drań jest lepszy od dużego drania, bo łatwiej go stłuc.

Ten pan był raczej duży.

Zerknąłem na wyświetlacz. Do parteru zostało nam jeszcze dziesięć pięter, które winda pokonuje zwykle w pół minuty. Kiedy bohater książki wyznaje, że każda sekunda ciągnęła się w nieskończoność, zwykle uznają to za chwyt literacki. Sekunda to sekunda, a pół minuty mija niepostrzeżenie. W nieskończoność może ciągnąć się co najwyżej godzina. Tym razem było inaczej. Przysięgłbym, że nawet nie sekunda. Pół sekundy trwało wieczność.

– Nie lubię tej pani – zawiadomił mnie Pitu. A na wypadek gdyby pani nie usłyszała, powiedział dobitnie: – Nie lubię pani.

Zerknąłem na wyświetlacz. To niewiarygodne, ale od parteru dzieliło nas jeszcze dziewięć pięter.

I pomyśleć, że jeszcze niedawno opowiadałem jako dobrą anegdotkę historyjkę o tym, że jako dziecko uwielbiałem wygarniać ludziom całą prawdę. Miałem mianowicie zwyczaj wąchać mieszkanie, do którego przychodziłem, a po krótkiej obdukcji demonstracyjnie wychodzić, obwieszczając, że tu śmierdzi.

Po latach uważałem, że to bardzo śmieszne. Teraz już nie. Niewątpliwie kiedy po latach opowiem to Pitu i Kudłatej, też uznają to za miłą anegdotkę – do czasu aż będą mieli swoje dzieci.

– Ale rezolutne dziecko – odezwała się pani, przerywając milczenie.

– Nie jestem żadne dziecko – zezłościł się Pitu. – Jestem Pitu. A pan brzydko pachnie.

Zerknąłem na wyświetlacz. Jeszcze siedem pięter. Zacząłem się gorączkowo zastanawiać, czy czytałem cokolwiek o tym, co rodzic może zrobić w windzie, aby wybrnąć z takiej sytuacji. Chyba nic. Ciekawe, naprawdę ciekawe, dlaczego autorzy porad dla rodziców cały czas radzą, jak dziecko ma się zaaklimatyzować w przedszkolu albo jeść. Dziecko idzie do przedszkola i już. A je kielbasę z keczupem, bo chce tylko kielbasę z keczupem. Nad czym się tu zastanawiać? Ale co zrobić z rezolutnym dzieckiem w windzie?

– Panu może być przykro – zacząłem ratować sytuację około szóstego piętra.

– Pan gupi, pan gupi – zanuciła Kudłata, uśmiechając się radośnie.

– Pana też nie lubię – naburmuszył się Pitu.

– A tobie nie jest przykro, kiedy Kudłata cię przezywa? – moralizowałem, zerkając na wyświetlacz. Zostały jeszcze cztery piętra.

– Nie przezywa, bo ją walnąłem w głowę, i już nie przezywa – wytłumaczył Pitu. – A poza tym ja nie śmierzę.

Doszedłem do wniosku, że dziś winda jedzie wyjątkowo wolno.

- Kudłata nie jest głuba, niegłuba – szeptała tymczasem Kudłata.
- Pani głuba, głuba.
- A gdyby twój tata tak mówił o innych ludziach, to byłoby im przykro – powiedziała dobrotliwie pani.
- Pitu zacukał się na chwilę, potem jego buzię rozjaśnił uśmiech triumfu.
- A wczoraj tata zobaczył jednego kretyna i powiedział, że to kretyn, i temu kretynowi nie było przykro – obwieścił.
- Brzęczyk przerwał niezręczną ciszę. Jakoś jeszcze bardziej niezręczną niż piętro wyżej. Parter.
- Zajechał tacie drogę ten kretyn – ciągnął Pitu. – Tata mówił, że nie można kłamać.
- Idziemy już, idziemy – wyciągałem potomstwo z windy.
- A pan też wygląda jak kretyn – kontynuował Pitu. – Mama mówi, że takie kurtki może nosić tylko kretyn.
- Odciągnąłem dzieci na bezpieczną odległość. Chyba zaczniemy używać schodów. Pół minuty prawdomówności może naprawdę człowieka dobić.
- I jak było? – zapytała Monika, kiedy wróciliśmy. – Nie biły się?
- Nie, ani razu. – Usiadłem ciężko na podłodze.
- Fantastycznie – ucieszyła się Monika.



Jak spędzić idealne wakacje, czyli fotel

Gdyby ktoś nie wiedział – dzieci są różne. Wszyscy wiedzą? Może i wiedzą, ale wyłącznie teoretycznie. My, na przykład, wiedzieliśmy teoretycznie.

Przekonani, że po szkole, którą dał nam Pitulek (i wciąż nam daje), zjedliśmy wszystkie rozumy, z zapalem przystąpiliśmy do wychowywania Kudłatej tylko po to, by stwierdzić, że dzieci różnią się od siebie, dziewczynka to nie to samo co chłopiec, i wcale nie chodzi o sukieneczki.

Różnica wyszła na światło dzienne przed pójściem na spacer.

– Nie oćmy, nie oćmy – protestowała Kudłata, która najwyraźniej cały dzień zamierzała przesiedzieć w domku. Perspektywa wyjścia gdziekolwiek przerażała ją śmiertelnie i, niestety, znaleźliśmy przyczynę. Na dworze czały się robaki.

Zaczęło się od lasu. Pitu z niewiadomego powodu pokochał chodzenie do lasu. Prawdopodobnie powodem było to, że skoro w sklepie, autobusie, na ulicy pouczaliśmy ryczącego Pitulka: – Chłopie, nie wrzeszcz, nie jesteś w lesie! – doszedł do jedyne go logicznego rozwiązania: – Zawieźcie mnie do lasu i tam sobie powrzeszczę.

Woziliśmy go więc niez mordowanie, a on wylatywał z samochodu i wrzeszczał. Trudno, może i jakiś ktoś zaczął ryczeć, i może poeta napi-



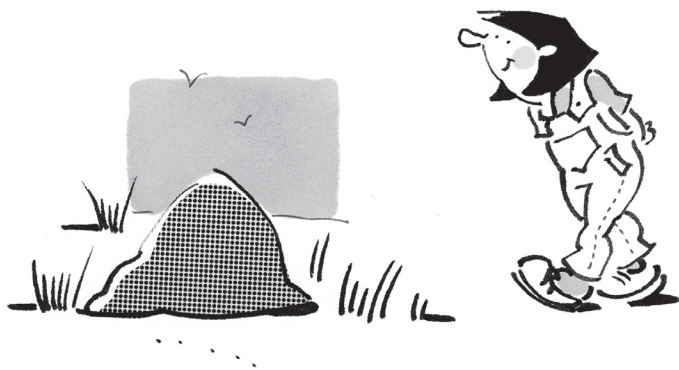
sał: „Niech ryczy z bólu ranny łoś”, gdy zobaczył zmykającego w popłochu zwierzaka, który uciekał przed wyrośniętym czterolatkiem. Być może przyprawił o zawał serca stada mrówek. Rodzice, jak wiemy, są samolubni i skoro mieliśmy wybór, by postraszyć ludzi i zwierzęta w lesie, ale dał na chwilę spokój nam, albo żeby ryczał w domu... Nie, właściwie to nie był żaden wybór.

Tak więc spędzaliśmy całe dni w lesie, gdzie Pitu i owszem, ryczał, ale na szczęście dość daleko od nas i mogliśmy się porozumieć, nie przekrzykując się wzajemnie.

Tak było do chwili, kiedy Kudłata zobaczyła robaczka i uznała, że się go boi. Las? Owszem, jeśli nie będziemy tylko, broń Boże, po nim chodzić, a najlepiej, jeśli w ogóle nie wyjdziemy z samochodu. Kudłata zapałała awersją do chodzenia, a dokładniej rzecz biorąc, do chodzenia w stronę, w którą kierowała się reszta rodziny. Idziemy dróżką w lewo? Kudłata machała rączką i szła na prawo. Idziemy zobaczyć staw? Kudłata siedała i zaczynała w napięciu oglądać listek, jakby co najmniej był jajkiem Faberge'a.

Każdy zamach na jej osobistą wolność karany był rykami i rzewnymi łzami.

Wyprawa do lasu rozciągała się na przestrzeni kilometrów. Pitu biegł na czele, po kilkuset metrach była Monika. Pół kilometra za nią szedłem ja, a pochód zamykała, a właściwie zasiadała Kudłata, która znajdowała



sobie jakiś kopczyk i obserwowała mrówkę. Jeśli mrówka kierowała się w jej stronę, Kudłata zwiewała, wrzeszcząc wniebogłosy.

Ba, Pitu w jej wieku, rzecz jasna, też obserwował mrówki. Mogłem się spodziewać, że dotknie to również siostrę. Tylko że jeśli mały Pitu dostrzegł mrówkę i postanowił ją śledzić, mógł to robić nawet do wieczora, no i na szczęście nie traktował mrówki jak zamachowca dybiącego na jego życie. Wycieczki do lasu zamieniły się w bitwę podjazdową. Kudłata zasiadała na igliwiu i postanawiała, że się nie ruszy, a ja, Monika albo Pitu staraliśmy się przekonać ją, żebyśmy jednak poszli do przodu. Po bezskutecznych negocjacjach Pitu prychnął: – Te dziewczyny! – i biegł w prawo, Monika gnała za nim, a Kudłata majestatycznie odchodziła w lewo. Po kilku godzinach spotykaliśmy się, albo nie, na parkingu: Monika zziąjana po gonieniu Pitulka, ja wykończony mrówkami i listkami.

Podobno wspólne wypadki za miasto scalają rodzinę, ale jeśli chodzi o naszą, to ją rozbijały.

Zawiodły próby nakłonienia Kudłatej do dreptania za nami, nie powiodła się próba osadzenia Pitulka w jednym miejscu choć przez chwilę. Próby ograniczenia wolności były kwitowane buntem. Najwyraźniej demokracja dla Pitulka oznaczała możliwość chodzenia, gdzie się chce, a dla Kudłatej – możliwość niechodzenia nigdzie.

Trzeba się było pogodzić z faktem. Przynajmniej przez jakiś czas mieliśmy dzieci, które chciały zupełnie czego innego i najwyraźniej było im z tym dobrze. Nam – nieszczęśliwie. Zwłaszcza że Pitu z Kudłatą jakby się umówili: zgodnie i grzecznie postanawiali robić co innego.

Prowadziliśmy Kudłatą na plac zabaw. Pitu – do tej pory zwolennik tej formy spędzania czasu – teraz kładł się jak Rejtan, zapowiadając, że tu nie wejdzie. On zamierza mianowicie biegać i udać się do fontanny, obiec staw i nakarmić kaczki. Najchętniej sam.

– Nie, nie możesz sam iść nad staw – wzdycham, a Pitu nadyma się i kładzie na trawie; będzie tu cierpieć.

– OK, za dwadzieścia minut wezmę Kudłatą i pójdziemy nad staw – proponuję porozumienie.



Po dwudziestu minutach wyciągam Kudłatą z piaskownicy. Kudłata ryczy, jakby dorwał ją King Kong, i wierzga nogami.

– Do piasku, do piasku! – zawodzi, jakbym był jakimś Tatarem uprowadzającym ją w jasyr.

Pitu leci tymczasem szczęśliwy, że wreszcie wrzaśnie na swoje ukochane kaczki, a potem zacznie wsypywać piasek do fontanny, która, niestety, stoi na postumencie z kilku kamieni. Pitulek dobrze wie, że nie może się tam wspinać, zawsze obiecuje, że tego nie zrobi, i oczywiście zawsze to robi.

Ja wracam ze spaceru prawie siwy i sprawdzam, ile czasu zostało do wakacji. Zwykle ludzie uwielbiają wakacje. Ja się ich boję. Pamiętam, jak pojechaliśmy na weekend nad morze i jak Kudłata, kilkanaście razy spuszczone z oczu na trzy sekundy, kilkanaście razy się zgubiła. A my chcieliśmy pojechać na wakacje, i to za granicę. Kudłata na wakacjach zgubi się kilkaset razy. Nie mówiąc o tym, że my osiwiejemy do reszty.

Kudłata przecięła nasze wahania.

– Nie chceć na wakacje, są tam robaki, ja chceć do babci Niny – ryczała.

Kiedy dowieźliśmy ją na miejsce, padła babci w ramiona, a potem schowała się pod stół, żebyśmy przypadkiem jej nie wyciągnęli i nie zawieźli do robaka.

Wybraliśmy ładną okolicę, w której było mnóstwo świeżego powietrza, i pojechaliśmy w świat z Pitu.

– Jestem na wakacjach – obwieścił Pitu kelnerce w austriackim barze, gdzie jedliśmy obiad.

Wieczorem zatrzymaliśmy się w motelu.

– Tu są wakacje? – zachwycił się Pitu na widok sali ze szwedzkim stołem, z którego nałożył sobie miskę ulubionych czarnych oliwek. – Lubię wakacje.

Zachwył Pitu rósł, kiedy odkrywał kolejne uroki motelu: telewizor na wysięgniku w pokoju, czekoladkę na poduszce zaścianego łóżeczka i fontannę w ogródku. Alpy za oknem też przypadły mu do gustu.

– Bardzo lubię fotele – westchnął, kiedy odjeżdżaliśmy.

– Motele – poprawiłem.

– Tak. Wrócimy jeszcze na wakacje w fotelu! – zgodził się uprzejmie nasz syn i zajął się oglądaniem tuneli, które uwielbiał.

No cóż, wakacje były urocze. Pitu docenił zarówno lody, jak i pizzę. Uprzejmie zgodził się przejechać przez Florencję i zajrzeć do Perugii. Ba, zamiast siedzieć pod drzewkiem i się bawić, sam nas wyciągał na zwiedzanie.

– Urodzony turysta – dziwiłem się, kiedy niezmordowany Pitu brnął przez Duomo, wołając, żebyśmy się pospieszyli.

– Uhu, duży zamek panowie zbudowali – dziwował się, otoczony Japończykami pstrykającymi zdjęcia katedrze.

– Chodź, tata, nie siedź, idziemy – popędzał mnie, kiedy znużony słońcem usiadłem w cieniu. – Kupimy loda kakatowego i jeszcze pomarańczowego.

W ten sposób odbębniliśmy imponujący program turystyczny, którego wcale nie mieliśmy w planie, sądząc, że Pitu będzie raczej siedział nad jakąś wodą i bawił się samochodzikami. Tymczasem on zwiedzał i zadawał dziesiątki pytań, na które w popłochu szukałem właściwych odpowiedzi.

– Może jeszcze nie wszystko rozumie, ale nasiąka kulturą europejską – puszyłem się przed Moniką.

– Chodźmy już coś zobaczyć – ciągnął nas Pitu z samego rana, kiedy byliśmy gotowi oddać się *dolce vita*.

Wakacje wreszcie dobiegły końca i zapakowaliśmy się do samochodu, szykując się w drogę do domu. Pitu cierpliwie jechał cały dzień, a kiedy zaczęły się alpejskie tunele, zaczął podskakiwać z radości.

– Hura, tunele! – wołał.

Po dziesięciu godzinach jazdy zacząłem szukać noclegu, ale Pitu był nieubłagany.

– Jedziemy dalej, musimy znaleźć nasz hotel – oświadczył.

Udało się po godzinie.

– Jest hotel, jest wreszcie, znalazłem – wrzasnął.

Stanęliśmy na noc. Pitu znowu był wniebowzięty. Trochę zdziwił się, że pokój jest na innym piętrze, ale czekoladka na poduszce i telewizor na wysięgniku uspokoiły jego wahania.

W sali restauracyjnej nabrał pełną miskę oliwek i usiadł z wyrazem błogostanu na twarzy.

– Wreszcie znaleźliśmy wakacje – westchnął.

Po powrocie nie mógł się nachwalić rodziców.

– Byliśmy na wakacjach w hotelu, takim fajnym, przy drodze – zawiadamiał każdego. – I w tunelu. Mama i tata mnie zawieźli do tunelu.

W przyszłym roku też pojedziemy. Nie wiem tylko, czy potrzebna nam ta Toskania. Może sam hotel plus oliwki wystarczą?

Jak podróżować samochodem,
czyli przeznaczenie

Poniższą scenkę zarejestrowały kamery i mikrofony satelity szpiegowskiego na drodze krajowej w państwie europejskim średniej wielkości. Komputer satelity wychwycił dziwne zachowanie pasażerów i postanowił objąć pojazd inwigilacją.

Pierwsza minuta obserwacji:

Samochód jedzie prosto. Na przednich fotelach siedzą mężczyzna i kobieta rasy białej. Na tylnych – dwa małe osobniki – prawdopodobnie dzieci. Zapis z nasłuchu.

Głos kobiety:

– Kochanie, nie bij brata samochodzikiem.

Głos dziecięcy:

– Nie lubim go.

– Tak, ale to nie powód, żeby go bić. A dlaczego go nie lubisz?

Głos małego osobnika płci męskiej:

– Ja też jej nie lubię.

Głos męski:

– Obiecaliście, że będziecie spokojni.

Piąta minuta:

Kamery wykrywają ruch w samochodzie. Dziecko płci żeńskiej wychodzi z fotelika i zaczyna czegoś szukać na podłodze samochodu.

Głos damski:

– Co ty wyprawiasz, wracaj na miejsce.

– Lala mi upadła.

– Zaraz ci podniosę, ale wracaj na miejsce.

– Nie ma lala.

– Poczekaj chwilę!

Kobieta przechodzi na tył samochodu i również zaczyna czegoś szukać na podłodze.

Głos małego osobnika płci męskiej:

– Daj picciu, picciu mi się chce.

Głos dorosłego osobnika:

- Pitu, poczekaj chwilę, widzisz przecież, że mama szuka lali.
- Ale ja chcę piciu teraz, bo już wypitem.
- Chwila, powiedziałem, chwila.
- O jest już moja lala.
- A mówiłam, że znajdziemy?
- Daj piciu!
- Już daję. Możesz tak nie trząść, popatrz, cała oblałam się sokiem.
- To polskie drogi, co ja poradzę, że są dziury?

Dwunasta minuta:

- Dlaczego stajemy, tata?
- Bo policja nas zatrzymała.
- A dlaczego zatrzymała?
- Bo chce nam zabrać forszę.
- Nie rób dziecku wody z mózgu.
- Nie robię. Widzisz, gdzie stanęli. Schowali się, spryciarze, za drzewem. Tu jest ograniczenie do sześćdziesięciu, ale przecież wszyscy walą stową.
- A ty ile jechałeś?
- Stową, jak wszyscy.
- I akurat ciebie musieli złapać?
- Spokojnie, damy sobie radę.
- A tata, a dużo forsy nam zabiorą?
- Będę się starał, żeby niedużo. A, dzień dobry.
- Dzień dobry panu kierowcy. Proszę wyłączyć silnik. No i co my tu mamy?
- Męczenników z dwójką potworów, panie władzo.
- Tym bardziej należy zwracać uwagę na ograniczenia prędkości, jeśli podróżuje się z dziećmi.
- Wiem, panie władzo, wiem. Ale ja już nie mogę, powiem panu w zaufaniu. No, napieprzają się cały czas. Człowiek głupiej po prostu, no, głupiej.
- No dobrze, panie kierowco, odstępimy tym razem od wymierzenia kary, ale bardzo proszę zwracać większą uwagę na warunki drogowe.

– Tak jest, panie kapitanie.

Osiemnasta minuta:

– Tata, a zabrali ci forszę?

– Nie, udało mi się ich przekonać, żeby nie zabierali.

– Fajny jesteś, tata, to kupisz jajko niespodziankę.

– Zobaczymy.

– A wiesz, tata, że Kudłata narzygała?

– Tak. Co? Gdzie narzygała?

– No tu narzygała, sobie na siedzenie.

– Rany boskie, zatrzymaj się gdzieś! – to Monika.

– Nie dam rady. Gdzie mam się zatrzymać, przecież tu pobocza nie ma.

– Pójdę do niej do tyłu. Wygląda, jakby znowu chciała rzygnąć.

– Mama, a ona śmierdzi, fuj.

– Nie śmierdzi, ty głupi!

– Wiesz, kochanie, trochę śmierdzisz. O rany, zaraz będzie rzygać.

– Masz tu torbę.

– Za późno, narzygała na bluzkę. Zatrzymaj się wreszcie!

– Gdzie? Tu nie mogę, za dwa kilometry będzie stacja.

– Mama, a ja też narzygałem.

– Widzę. Słyszysz, oba się zarzygały.

– Zaraz mamy stację.

– Młoda znowu rzyga, no to już jestem cała zarzygana.

– Już stajemy.

– Wyjmij ich, tylko ostrożnie, nawet na głowy sobie narzygali.

– Tak, jestem ostrożny. Mamy jakieś chusteczki?

– Nie mamy. Kudłata się bawiła i jak zwykle połowę zjadła, a resztę gdzieś zgubiła.

– No pięknie. Schowam te zarzygane ciuchy do bagażnika.

– Zimno, tata, zimno. Daj koszulkę.

– Już wam daję nowe ubranka.

– Czy tu można się umyć?

– Można spróbować.

- Dzieci, czy już się dobrze czujecie?
- Tak, już dobrze się czuję, to Kudłata rzygała.
- Jedziemy dalej.

Trzydziesta trzecia minuta:

- Może otworzyć okno? Ja już nie mogę wytrzymać.
- Przeziębiam się.
- Jak nie otworzymy, to ja umrę i zginiemy pod kołami tira.
- To otwórz, naprawdę nie mamy już chusteczki?
- Została mapa Polski.
- Trudno, daj. Kupimy nową.

Trzydziesta szósta minuta:

- Tata, daj jeszcze ememka.
- Mowy nie ma. Pożarliście opakowanie, i co?
- Ale już nie będę rzygał, naprawdę, obiecuję.
- Nie i kropka.

Czterdziesta czwarta minuta:

- Tato, znowu będę rzygał.
- Chwila, kochanie, mama da ci torebkę. Zatrzymaj się.
- Już za późno.
- O rany, obrzygałeś siostrę.
- Hih, no.
- Mówiłam, żebyś się zatrzymał.
- Siku zrobiłam.
- No jak to?
- Siku, no zrobiłam.
- Co teraz?
- Teraz i tak nie ma sensu stawać. Nie mamy już nic do przebrania się ani do wytarcia.

– Wiesz, nie wiem, czy jest sens jechać na te urodziny. Wszyscy jesteśmy obrzygani.

- Rzeczywiście, to co robimy?
- Chyba wracamy.

Pięćdziesiąta pierwsza minuta:

Samochód się zatrzymuje.
Kierowca wychodzi i najpierw spazmatycznie oddycha, a potem wali miarowo głową w najbliższe drzewo.



Pasta do zębów,

czyli Oscar

Nie chodzimy do teatru. Wiem, wiem, podobno grają nawet niezłe rzeczy. Ostatnio nawet nie tylko na scenach, ale w poczekalniach dworcowych albo prywatnych mieszkaniach.

Krytycy wypisują potem sążniste relacje i chwalą albo ganią. Jedna sztuka, powiedzmy, siłała się na wyrachowaną naturalność, a inna z kolei przepadła przez zbyt wyraziste i toporne nakreślenie konfliktów.

A gdy spojrzymy na aktorów, to jeden jest zbyt nijaki, drugi nieprzekonywający, a kolejny wypada blado.

Hmmm. Nie chodzę do teatru, bo mam teatr wszędzie, gdzie pójdę. Główne role znakomicie doprawdy odgrywają doskonali aktorzy, czyli my. Odgrywamy przed światem rodziców doskonałych. Nasze dzieci odgrywają przed światem idealne dzieci.

Akt I scena 1. Niedziela. Rodzina Talków wychodzi na typowy spacer.

Leszek: – Biegnijcie się bawić, moje kochane dzieci. Uważajcie tylko na siebie.

Dzieci (chórem): – Dobrze, tatusiu.

Monika: – Ach, jaka jestem szczęśliwa. Nasze dzieci są takie kochane.

Dzieci: – Czy mogłybyśmy dostać coś do picia, mamusiu?

Monika: – Ależ proszę, kochane dzieci.

Trochę nudne – prawda? Nikt by tego nie obejrzał, z wyjątkiem samych aktorów.

Ale uwaga, przecież nie jesteśmy na scenie sami. Idziemy główną alejką parku, udając szczęśliwą rodzinę, która myśli tylko o swoich dzieciach, a naprzeciwko widzimy dalekich znajomych: Joannę i Marka. Też z dziećmi. Ich miny wskazują na to, że również występują na scenie.

– Jak wspaniale się spotkać – woła Joanna, nieco zbyt szybko, by było wiarygodnie.

– Wy też tutaj? – mówi moja żona, nie chcąc dopuszczać się ewidentnego kłamstwa.



– Uwielbiamy spędzać czas z naszymi dziećmi – śmieje się Joanna. Muszę przyznać, że świetnie gra. Gdyby nie to, że wiem, że ma dwie opiekunki do dzieci – jedną w dni powszednie, a drugą w weekendy – które pozwalają jej oddać się pracy zawodowej – przez co rozumiem pogawędki na korytarzu w firmie – naprawdę bym uwierzył.

– My też po prostu jesteśmy chorzy, jeśli nie spędzamy każdej wolnej chwili z naszymi maluszkami – mówię i patrzę czule na nasze dzieci buszujące w trawie. Za to spojrzenie przyznałbym sobie Oscara. Jest takie głębokie, mądre i szczere i w ogóle nie zdradza, że jeszcze rano uduśliłbym je gołymi rękami, bo ileż razy człowiek może sprzątać ten sam pokój, a poza tym budzenie tatusia za pomocą szklanki zimnej wody za kołnierz stanowczo jest irytujące – zwłaszcza dzień w dzień przez dwa miesiące po lanym poniedziałku.

– Wszystko bym dała, żeby nie pracować i spędzać z nimi całe dni – uśmiecha się anielsko Joanna, a ja dławię się trochę, bo pamiętam, że słyszałem, jak narzekała, bo nie mogła znieść tego zajmowania się

dziećmi. Było to w czasach, kiedy druga opiekunka zachorowała i trzeba było spędzić z nimi całą sobotę.

Potem żegnamy się i po kwadransie uśmiechania się wpadamy na sąsiadkę spacerującą z dzieckiem. Naprawdę, słowo daję, wygląda wprost modelowo. Każdy postawiłby ostatnie pieniądze na to, że jest matką idealną.

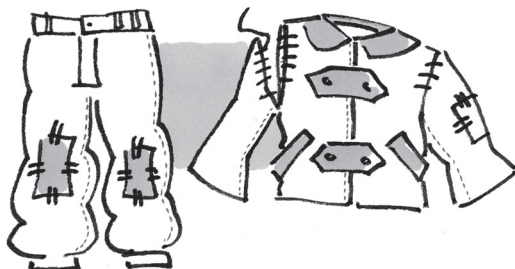
– Nie mogę się po prostu doczekać, kiedy Stasio będzie miał brzuszcza – mówi.

To też rola godna Oscara. Ba, sam dałem się nabrać. Pewnie przez to, że czytałem jej bloga, którego w całości poświęciła swojemu Stasiowi i opiece nad nim. Jasne, że coś powinno mnie tknąć. Na przykład to, że strasznie trudno zajmować się Stasiem, a jednocześnie codziennie tyle o nim pisać. A przy tym gotować mu wymyślne obiadki, pracować, zajmować się domem i logicznymi zadaniami i układankami, które tak uwielbia, oraz jeździć na rowerku i grać w piłkę. Ach, i zapomniałbym dodać, że sąsiadka katalogowała ubranka Stasia i od czasu do czasu sprzedawała je na aukcjach internetowych.

Przez długi czas czytywałem jej opowieści o tym, jak to wspaniale jest zajmować się Stasiem, i o mały włos razem z Moniką wpadlibyśmy w depresję. My padaliśmy na nos zarznięci dziećmi, a ona gotowała Stasiowi wymyślne obiadki. My po godzinie bawienia się w policjantów i złodziei leżeliśmy bez ducha, marząc, żeby już nadszedł wieczór, a dzieci poszły spać, ona bawiła się ze Stasiem całymi godzinami. My ziewaliśmy, gdy tylko usłyszeliśmy setny raz o Kopciuszku, ona mogła czytać bajki całymi nocami.

My we dwójkę nie mogliśmy ujarzmić samego Pitulka, nie wspominając o ujarzmianiu obydwójga. Dla niej zabawa ze Stasiem była najpiękniejszym przeżyciem.

My po dniu spędzonym z naszymi dziećmi ledwo doczołgaliśmy się do łóżka, by tam zasnąć w ubraniu. O logicznych układankach nawet nam się nie śniło, a pisanie bloga byłoby w tej sytuacji równie bezsensowne, jak porcja joggingu po drodze na szczyt w Himalajach. Kiedy niby mielibyśmy pisać tego bloga? Albo katalogować ubranka,



każde fotografować i zastanawiać się, czy Pitu już wyrósł, czy jeszcze nie.

Zresztą żadne używane ubranko Pitulka nie nadawało się do niczego, a już najmniej do sprzedaży. Po prostu psuło się, spodnie przedzierały się na kolanach, kurtkom urywały się rękawy i trzeba je było wyrzucić.

Depresja pogłębiała nam się do momentu, gdy przygodnie spotkana znajoma okazała się przyjaciółką sąsiadki, często odwiedzającą ją w domu.

– Zazdrozczę jej – sypnęła się pewnego razu. – Potrafi zadbać o siebie, co tydzień fryzjer i masaż. Chodzi do kina i teatru.

– Jakim cudem? – jęknęła Monika. – Kiedy ta kobieta to robi? Cały dzień spędza przecież ze Stasiem!

– No, jest świetnie zorganizowana – powiedziała przyjaciółka. – A poza tym ma oczywiście nianię, no i codziennie przychodzi babcia, która robi zakupy i gotuje. No i oczywiście zajmuje się wnukiem, kiedy niania wyjdzie. A wieczorem przychodzi mąż, bawi się ze Stasiem, a potem mu czyta i kładzie go do łóżeczka.

Tak, byliśmy w tym momencie bliscy rozwikłania tajemnicy o wiele większej niż kod Leonarda da Vinci.

– Babcia, ciocia, nianie, pomoce domowe – podliczaliśmy sobie już sami.

Nasza bohaterska sąsiadka od rana do wieczora opiekująca się synkiem ledwo widziała go na oczy, wyręczona przez chmarę pomocniczek. To dlatego zawsze miała czas na fryzjera i opisywanie swojego życia

z dzieckiem. Z ciekawości jeszcze raz zajrzałem do jej bloga, hmmm, ani razu nie wspomniała o babci, niani ani żadnej innej pomocy. Ba, ledwo ze dwa razy napisała o mężu – że również o niego musi się troszczyć i prasować mu koszule.

Nie chciałem wierzyć w upadek mojego ideału matki, ale kiedy wpadłem po kilku tygodniach do mamy Stasia, żeby zapytać, czy nie ma pomysłu na jakąś niebanalną zabawę na wieczór, usłyszałem trzaski dochodzące zza jej drzwi, a potem wrzaski i coś jakby walenie głową w ścianę.

– Daj mi już spokój, do jasnej cholery! Czy ja nie mogę mieć nawet chwili dla siebie?! – wrzeszczała sąsiadka. – Stanisław, do łóżka. Zaraz dzwonię do ojca, da ci w skórę. Gdzie on się podziewa, dawno miał być?!

Wywnioskowałem z tego, że z pewnością ma słabszy dzień, i roztropnie postanowiłem nie pytać o pomysły na zabawę.

Nadzieja na to, że istnieją idealni rodzice, stopniowo malała, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Rosło we mnie przekonanie, że na szczęście jesteśmy normalni. Oczywiście nigdy tego nie wyznaliśmy na niedzielnym spacerze, ale byliśmy wykończeni.

Byliśmy gotowi ozłocić kogoś, kto by choć na chwilę zdjął nam dzieci z głowy.

Byliśmy gotowi dać wszystkie pieniądze, żeby dzieci dały nam przez chwilę spokój. Rzecz jasna, na użytek znajomych nadal wygłaszaaliśmy politycznie poprawne przemówienia, jak to uwielbiamy nasze dzieci wieczorami, nocami, rankami i we wszystkich innych porach dnia i nocy. Rzecz jasna, można mówić prawdę, położyć się na podłodze i zacząć jęczeć, że te potwory nas wykończą, ale w towarzystwie nie jest to dobrze widziane.

Tylko rodzic zrozumie innego rodzica. Każdego nierodzica oszołomi nasza gra aktorska i kwestie tak rzeczowo, a jednocześnie z uczuciem rzucane ze sceny.

Ba, sam kiedyś tak wierzyłem w kunszt aktorski, że gdybym spotkał podłego Brunnera na ulicy, niechybnie postarałbym się przyłożyć mu

cegłą albo choć podstawić nogę za to, że tak wrednie tropił Klossa. Dopiero po latach zrozumiałem, że to tylko aktor, ale to i tak liczy mi się na plus – przynajmniej sądząc z liczby listów przychodzących z prośbami o poradę do aktorów grających lekarzy.

Tylko bezdzietni w ogóle nic z tego nie rozumieją.

Oni chyba naprawdę sądzą, że Yoricka w teatrze ktoś wcześniej utrupił, a Otello codziennie dusi kolejną Desdemonę i trudno nastarczyć mu aktorek.

Bezdzietni, słuchając naszych monologów, natychmiast lecą się rozmnażać. Dzieciaci, którzy akurat robili za widownię, kiwali ze współczuciem głową i głośno mówiąc: – Dzieci są najlepszym, co nas spotkało. – po cichu dodawali: – Głowa do góry, szkoła, studia i pójdą na swoje.

No nie wiem, jak będzie z tym pójściem. Pitu właśnie zapytał mnie:

– A jak będę duży, to kupisz mi kabriolet i motorówkę?

Może to lepiej, że on wciąż jest mały?

Jak przyzwyczaić dzieci do mycia zębów, czyli mleko kakaowe

Być może moje dzieci są dziwne. Tak, nawet na pewno są dziwne. W każdym razie nie śpią z pluszakami, lalami czy misiami. Śpią z pastą do zębów.



Być może inne dzieci dałyby się pokroić za nutellę albo banana.

Nasze dzieci pałają niezwykłą żądzą zdobycia pasty do zębów, którą następnie usiłują zjeść.

Pasta do zębów służy im do wielu kreatywnych zabaw. Malują nią siebie, malują tatusia. Ba, nawet jedzą, i to całkiem często.

Zdarza się, że dochodzi do wojny, kiedy jedna tubka zniknie, i strona bez pasty usiłuje zagrabic tubkę przeciwnika.

Nie wiem dlaczego i nawet nie będę próbował udawać, że potrafię to zrozumieć.

Po prostu nasze dzieci kochają pastę – i to nawet nie jakiejś szczególnej firmy. Po prostu każdą dziecięcą pastę. Za każdym razem, kiedy idziemy do sklepu, staczam z nimi dzikie walki. Dzieci, płacząc, wrzucają mi

do koszyka kolejne tubki, które ja wyrzucam, i przedstawienie się zaczyna.

– Chcemy pastę, tatusiu – kwilą cichutko. A ja wyrzucam wszystkie pasty, głośno zapowiadając:

– O nie, jeszcze czego wam się zachciało?

Jasne, że takie zachowanie przyciąga uwagę innych kupujących. Kilka razy podeszły do mnie starsze panie i usiłowały nakłonić mnie do zmiany stanowiska. Oczywiście moje tłumaczenia, choć całkiem prawdziwe, że to już dziesiąta pasta w tym miesiącu – nie trafiają do przekonania. W końcu jeśli widzimy płaczące dziecko, które chce dostać od taty pastę do zębów, i tatę, który bezlitośnie odmawia – komu będziemy wierzyć?

Ja, na przykład, wierzyłbym dziecku i współczuł mu ojca potwora, i to właśnie robią świadkowie.

Ba, dwa razy podeszła nawet jakaś miła pani i zaproponowała, że może ona kupić za własne pieniądze pastę dzieciom, skoro mnie nie stać. Kudłatej zapalił się wtedy błysk w oku i od tej pory zaczęła biegać po supermarkecie, ciągnąc za spódnicę przygodnie spotkane kobiety i zawodząc: – Kupi pani pastę mi.



Nie przyniosło mi to specjalnej popularności wśród spotykanych w sklepie sąsiadów, dlatego zacząłem robić zakupy w supermarkecie po drugiej stronie miasta i byłem bardzo zadowolony aż do czasu, kiedy natknąłem się przypadkiem na pewnego ważnego dyrektora, z którym wiązałem duże nadzieje na intratne zlecenie. Dyrektor ów pakował właśnie do wózka wielki samochód rajdowy dla swojego synka i, niestety, zderzyliśmy się wózkami w momencie, kiedy po raz dwudziesty podniesionym już głosem wykrzykiwałem: – Pastę dostaniecie po moim trupie!

No cóż, dyrektor do dziś do mnie nie zadzwonił.

Czasem, rzecz jasna, się łamię. Kupuję im tę cholerną pastę. Nigdy jeszcze nie udało mi się pójść o krok dalej – skłonić je, żeby umyły nią zęby. Oczywiście nikt mi w to nie wierzy. Dlaczego by miały zjadać tę pastę zamiast myć nią zęby?

A właściwie dlaczego by nie? Nocą zakradłem się do ich łóżeczek, żeby wyjąć poukrywane tubki i przenieść je do łazienki. Nie udało się, bo dzieci mocno trzymały przez sen swoje skarby. Ale wycisnąłem sobie trochę i zjadłem.

Hm, smaczne. Naprawdę smaczne.

Następnego dnia kupiłem mleko czekoladowe w tubie. Kudłata była wniebowzięta. – Mogę jeszcze pasty?

Pozwoliłem, a co tam. Potem umyła resztą mleka zęby. To bardzo kreatywne dziecko.

My też jesteśmy kreatywni i gramy codziennie nowe przedstawienie. Gramy w znanej komedii „Dobry rodzic, zły rodzic” oraz w dramacie „Rodzic fiction”. Nasze dzieci zmieniają zaś swoje *emploi* tak często, że Hannibal Lecter może się przy nich schować.

W kiosku grają urocze, grzeczne niebożątka. Pan kioskarz jest nimi zachwycony i opowiada, że inne dzieci... hoho. Te inne dzieci to potwory. I pyta, jakim cudem ja mam takie grzeczne dzieci. Biedak, nie wie, że moje dzieci grają właśnie w sztuce „Aniołki” i mówią wiele razy „proszę” i „dziękuję”. Poruszają się powoli i niczego nie strącają z półek. Znają pana kioskarza i uważają, że najwyraźniej warto dobrze przed nim zagrać.

Ja kłamię panu kioskarzowi, a właściwie gram:

– Dzieci są takie od urodzenia. Po prostu nie mamy z nimi żadnych kłopotów.

Pan kioskarz mi wierzy. Dlaczego niby ma nie wierzyć. W końcu większość społeczeństwa wierzy, że aktor grający geja jest naprawdę gejem, a aktorowi grającemu złodzieja trzeba obić twarz, żeby nie ruszał dobytku. Nic dziwnego, że ja, grający ojca, i dzieci, grające dzieci, budzimy sympatię i wszyscy nam wierzą.

Jak zagonić dzieci do spania, czyli tylko krowa nie zmienia poglądów

Znam ludzi, którzy publicznie opowiadają, że nie mogą się nacieszyć swoim potomstwem i z radością bawią się do późnego wieczoru, bardzo żałując, że dzieci o dwudziestej drugiej idą wreszcie spać. Ci niezwykle ludzie nie mogą się doczekać poranka, kiedy to dzieci wstaną i znowu rzucą się im na szyję.

Pewna niezwykle kobieta z dumą tłumaczyła mi całe pół godziny, jak wraca po pracy do domu i żeby nie tracić nawet chwili, chwytła dzieci w ramiona i pozostałe do pójścia spać godziny spędza, robiąc babki albo układając kolejkę ze swoimi zachwyconymi maluszkami.

Rzecz jasna, nie wiedzieliśmy, że to fikcja literacka równie odległa od rzeczywistości, jak programy polityczne niektórych partii.

– Jakim cuuudem – ziewała Monika – ci inni, no wiesz, rooodzi-ce... – ziewnęła ponownie.

– Tak, co z tymi rodzicami? – pytałem zaniepokojony, kiedy moja żona nie dotarła po raz kolejny do końca zdania.

Monika spała.

Ja też zasypiałem, a na samą myśl, że po powrocie z pracy czeka mnie robienie babek, byłem gotów usnąć nawet w windzie.

Od wolności – czyli kilkunastu minut, kiedy mogłem sprawdzić w komputerze pocztę, popracować, przeczytać książkę i zadzwonić do przyjaciela – dzieliło mnie zaledwie dwie godziny.

Godzina 19.30.

– Idziecie się kąpać? – zapytałem.

– Nie, nie chcemy się dziś kąpać.

– A co chcecie robić?

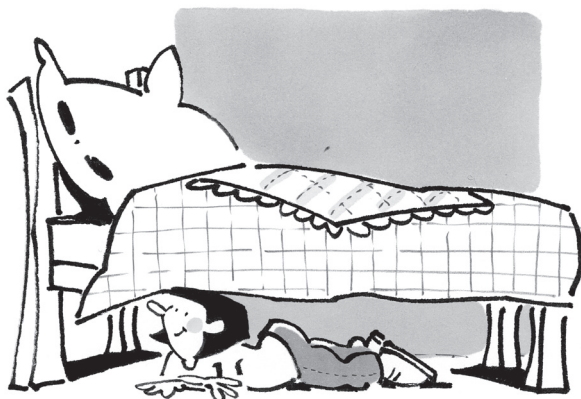
– Chcemy się bawić w chowanego.

Następne pół godziny spędziłem, chowając się pod łóżkiem. Czasami wymieniałem się z Kudłatą, której kryjówka bardzo przypadła do gustu.

– No dobra, idziemy spać – wydyszałem.

– Nie spać – zaprotestował Pitu. – Chcę się kąpać.

– Przecież mówię, że nie chcesz.



– Ale zmieniłem zdanie.

Wpakowałem towarzystwo do wanny i powiedziałem Monice:

– Wydaje mi się, że są już trochę zmęczeni.

Nic nie odpowiedziała, powątpiewająco spojrzała na drzwi, zza których dobiegał dźwięk wylewanej wody.

Wpadliśmy do łazienki jednocześnie.

Goła Kudłata siedziała na podłodze w kałuży wody, a Pitu z przepaszającym uśmiechem wyjaśniał:

– Wyrzuciłem ją, bo wylewała.



Godzina 20.00.

- Dzieci, spać! – zawołała Monika. – Chcecie coś jeszcze?
- Nie, nie chcemy – mruknął Pitu.
- Przykrywamy się kołderkami i zasypiamy.
- Chcę jeść, jestem bardzo głodny – jęknął Pitu.
- Przecież nie chciałeś kolacji.
- Zmieniłem zdanie. Daj jajeczniczkę. Boli mnie brzuch z głodu.
- Mnie też boli – zerwała się natychmiast Kudłata.

Godzina 20.30.

- Zjedliście już? To idziemy spać.
- Tata, a poczytasz nam?
- W porządku, poczytam.
- „Dawno, dawno temu za górami, za lasami”... Ej, Pitu, mógłbyś wrócić do łóżka i nie szczytać Kudłatej? Dziękuję. „Mieszkał piękny królewicz”. Kudłata, natychmiast przestań rzucać w Pitu klockami!
- Auuuu, ona mnie uderzyła w głowę.
- Spokój, dzieci. „Królewicz był bardzo smutny, bowiem nie miał żony”.
- Chcę lody.
- O tej porze? Jutro. A teraz śpimy. „Polecił w całym królestwie szukać odpowiedniej kandydatki na żonę”.
- Tata, a jutro jest środa?
- Nie, a dlaczego pytasz?
- Bo w środę są święta.
- Nie, w środę były święta, ale to było dawno. Kudłata, wracaj do łóżka.
- Chcę skarpetki.
- Dobrze, załóż. A ty gdzie się wybierasz, Pitu?
- Chcę jabłuszko.
- Mama już niesie jabłuszko. A więc królewicz, zaraz, przy czym ja byłem? Pitu, co robił królewicz?
- Nie wiem.
- A ty słuchasz?
- Słucham, słucham. Tata, a dlaczego samochód jedzie?

- Bo ma silnik. Już mam: „Zgłosiło się wiele kandydatek na zamek”...
- Chcę czekoladkę.
- Nie. „Wszystkie kandydatki były piękne, ale królewiczowi żadna nie przypadła do gustu”. Kudłata, ile razy mam powtarzać? Do łóżka!
- Tata, ona urwała kartkę.
- Kudłata, oddaj kartkę. Nie wolno wrywać kartek z książki.
- Tata, ona ją zjada. Mogę ją walnąć, tata?
- Nie, nie. Kudłata, oddaj kartkę.
- Zjadła.
- No tak. Wiecie co, do łóżek! Jutro znajdziemy inną bajkę, ta już jest zjedzona. Dobranoc.

Godzina 21.00.

- Tata, a Kudłata chce siku.
- To niech zrobi.
- A ja też chcę.
- To też zrób.
- A masz kinderniespodziankę?
- A nie mam, lećcie do łóżka.
- A mama ma? Mama, masz kinderniespodziankę?
- Nie mam.
- Mama, opowiesz nam coś?
- Już idę.

Godzina 21.10.

- Czy wiesz, że zaczęły wariować? Opowiadałam im bajkę, a Kudłata zaczęła szczypać Pitulka, a potem on w nią rzucił klockami.
- Mhm.

Godzina 21.20.

- Tata, chcę piciu.
- Ja też chcę piciu.
- Tata, chodź, tata, na chwilę.
- Słucham. Dlaczego nie śpisz?
- Bo nie mogę. Chcę bajkę.
- Już była. Dobranoc.

Godzina 21.30.

- Mama, daj mamę.
- Mama już śpi.
- Tata, a dlaczego... dlaczego jest ciemno?
- Żebyście lepiej spali.

Godzina 21.45.

- Tata, chcę kupę.
- Proszę bardzo, do łazienki.
- Nie, nie chcę. Tylko żartowałem.
- Ja chcę kupę.
- To idź.
- Tata, a poczytasz jeszcze?
- Jutro.
- A mama poczyta?
- Też jutro.

Godzina 22.00.

- Tata, tata.
- Ej, Kudłata, zobacz. On śpi.
- No, tata śpi. I mama też śpi.
- Zbudujemy sobie zamek.
- No, Pitu. Zamek.
- I włączymy telewizor sobie.

Tak, też czytałem wyznania rodziców, którzy opowiadali, że uwielbiają bawić się ze swoimi pociechami wieczorami. No nie wiem. Może wrócili z kilkumiesięcznej delegacji. Kiedy ja wracam z długiej delegacji, to owszem – też bawię się w chowanego do dwudziestej trzeciej.

Normalny rodzic ma jednak o dziewiętnastej dosyć wszystkiego i ponuro myśli, że życie nie ma sensu, i nie marzy o tym, żeby w drzwiach stanęła długonoga blondynka ubrana tylko w skąpy fartuszek. Marzy o tym, żeby w drzwiach stanęła babcia – wszystko jedno jaka babcia – i zajęła się dziećmi. Rzecz jasna, są rodzice, którzy będą się upierać, że jest inaczej. No cóż, wielu Koreańczyków z Północy bez cienia

uśmiechu recytuje, że Korea Północna to najwspanialszy kraj na ziemi. I dadzą się pokroić, że to prawda.

– Dlaczego, dlaczego? – powtarzała z rozpaczą Monika następnego dnia o dwudziestą pierwszą trzydziści, próbując zagnać Kudłatą do łóżka, podczas gdy ta zwiewała, znacząc trasę ucieczki wylewanym sokiem.

Ja usiłowałem przekonać Pitu, że wszystko śpi (kiedyś to działało: mama śpi, tata śpi, dziadzia śpi i kotek śpi), co całkowicie zignorował, stwierdzając, że teraz będzie skakał z parapetu, a ja mam go łąpać.

– Musimy ich bardziej zmęczyć w ciągu dnia – westchnąłem ledwo żywy godzinę później, kiedy wreszcie spali po zabawie w chowanego, grze w piłkę i robieniu baniek mydlanych. – Mają za dużo energii.

– Tak, żadnego rysowania, oglądania telewizji, spacerków – potwierdziła Monika. – Damy im szkołę przetrwania. Padną do łóżek o dziewiętnastej.

– Może pójdziemy pograć w piłkę? – zaproponowałem następnego dnia.

– Tak, tak! – wrzasnął Pitu uszczęśliwiony. – Idziemy, będziemy grali!

– Uuuuuuuu – buczała rozradowana Kudłata, przynosząc piłkę i buty.

– No to gramy – powiedziałem, kiedy dotarliśmy na plac. – Tu mamy bramkę i strzelamy gola – zachęcająco zacząłem żonglować piłką.

– Nie, ja się pobawię w piasku – zdecydował Pitu i usiedli z Kudłatą jak dwie kwoki, oszczędnymi ruchami sypiąc piasek.



– Może jakoś ich zachęcimy – zaproponowała Monika.

Na placu zabaw byli już Tomek i Krzysio – trochę starsi od Pitu, i patrzyli się łakomie na piłkę.

– Zagramy? – zaproponowałem.

Przez następne pół godziny toczyliśmy heroiczny mecz z chłopakami, od czasu do czasu pokrzykując na nasze dzieci.

– Ale fajnie się gra, chodźcie, strzelimy gola!

– Nie, dziękuję. – Krzywił się Pitu ze swojego stanowiska w piaskownicy. – Ja sobie posiedzę, babkę zrobiłem.

– Może zabawimy się w zbijaka – zaproponowałem po następnym kwadransie. – To taka fajna gra, którą wszyscy lubią. My będziemy zbijali, a wy uciekajcie.

– Tak, tak! – wrzasnęli Tomek i Krzyś.

– Ja sobie babkę zrobię – wymamrotał Pitu.

Pół godziny później sytuacja była patowa. Nasze dzieci w zwolnionym tempie robiły babki, a my byliśmy ledwo żywi.

– To może w policjantów i złodziei albo chowanego? – wydyszała Monika.

– Dobrze – zgodził się łaskawie Pitu. – Ja się schowam o tu, za drzewem. – Wskazał na metrowe drzewko tuż obok piaskownicy. – A wy szukajcie.

– A my będziemy złodziejami, gońcie nas – wrzasnął Tomek.

– Jestem schowany, nie można znajdować Pitulka – wrzasnął rozzłoszczony Pitu, gdy Monika usiłowała go znaleźć. – Idźcie się bawić.

Naburmuszony wlaźł do piaskownicy i zasiadł na waderku.

Nie traciliśmy nadziei. W końcu co, jeśli nie rodzicielski przykład, zachęci do zabawy?



Nie jest łatwo gonić dwóch pięcioletnich złodziei, więc po kolejnej półgodzinnej rundzie byliśmy całkiem wykończeni.

– Idziemy do domku – zakomenderował Pitu z piaskownicy. – Jestem zmęczony.

O dziewiętnastej trzydzieści wsadziliśmy dzieci do łóżeczek i padliśmy bez życia na kanapę.

– Niełatwo mieć dzieci – sapnęła Monika. – Chyba pójde spać, jestem wykończona. Ale przynajmniej je zmęczyliśmy!

Ja chciałem obejrzeć film, ale zdrzemnąłem się na kanapie. Obudziłem się o dwudziestej pierwszej. Monika spała jak niemowlę, wszedłem do pokoju dzieci, z którego dochodziły stuki, ryki i trzaski.

Pitu stał na komodzie i rzucał w Kudłatą książeczkami. Kudłata rozebrana do rosółu wrzeszczała ze szczęścia, obrywając zasłony, a w końcu cały karnisz.

– Nie spać, nie spać – ryczał Pitu. – Nie jestem zmęczony, bawimy się, tato, bawimy! Ja uciekam, a ty mnie gonisz.

– Jestem zmęczony – jęknąłem.

– Nie zmęczony, nie można – wołał Pitu.

Szybko skalkulowałem zyski i straty. Jeśli wyjdę, zdemolują pokój, a na dodatek obudzą nas o szóstej rano pełne energii.

– W porządku, skaczemy, ale po cichu – zaproponowałem.

Kiedy wyszedłem o dwudziestej trzeciej, byłem cieniem siebie. Ale wykończone dzieci spały.

Nie wiem, jak zasnąłem, ale obudziłem się na dywanie. Nade mną stała Kudłata, a Pitu rozpędził się i skoczył mi na brzuch.

– Wstawaj, tatusiu – zawołał. – Już dzień. Daj soczku, daj am.

Zerknąłem na zegarek. Właśnie minęła szósta rano.

Lubię twoją zupę,
czyli resztki godności

Rodzice zwykle chętnie spotykają się z innymi rodzicami. Niechętnie za to z osobami pozbawionymi kochanego potomstwa. Niektórzy twierdzą, że to dlatego, że uwielbiają rozwodzić się o swoich maleństwach, omawiać mądrości swoich dzieci i dzielić się spostrzeżeniami.

To nieprawda. Uwielbiam się spotykać z innymi rodzicami z jednego powodu – nie patrzą na mnie dziwnie, nie chrząkają po cichu i nie odwracają nieudolnie spojrzenia ani nie wybałuszają oczu.

Jestem flejtuchem i zachowuję się obrzydliwie. Trudno, nie zamierzam się usprawiedliwiać. To dzieci zrobiły ze mnie flejtucha. Być może za jakiś czas – powiedzmy za dwadzieścia lat, kiedy już sobie pójdą w świat, znowu będę piękny i czysty. Znowu będę zachowywał się przyzwoicie. Póki co – jestem ojcem. Pół biedy, że brudnym, gorzej, że dziwnym.

Kiedy dostaję coś do jedzenia, lecę do kąta i wypycham sobie jak najszybciej do ust, prawie się dławiąc. Tak, wiem, że jest to zachowanie charakterystyczne dla więźniów, których głodzono, oraz pewnych gatunków ptaków. Również dla ojców i matek, tylko nie mówi się o tym publicznie, żeby nie zmniejszać tempa przyrostu naturalnego.

Właśnie podaję na stół obiad. Moje dzieci już pędzą do swoich krzesłek. Kudłata jak zwykle rozbiera się do rosotu i siada przy stole goła. Macham ręką. Może to i lepiej, przynajmniej włoży się ją pod kran i umyje, nie trzeba będzie prać koszulki.

Zajadamy zupę, a Kudłata łapie okiem w mój talerz. Oho, już widzę ten błysk w oku. Kudłata wstaje, włazi na stół i petznie do mojego talerza.

– O nie – mówię stanowczo. – Bardzo proszę, zejść ze stołu i wrócić na krzeselko.

– Zupa – pokazuje Kudłata na mój talerz i uśmiecha się czarująco.

– Lubię zupę.

– I masz ją w swojej miseczce.

– Lubię twoją zupę – mruczy Kudłata.

– Twoja jest taka sama.

Kudłata wsadza swoją łyżkę do mojej zupy i próbuje.

– Dobra zupa – cieszy się.

– Masz taką samą – jęczę. – To moja, rozumiesz?

– Ja nie jem twoja zupa – przysięga Kudłata i zanurza znowu łyżkę.

– No przecież widzę, że jesz.

– Nie, ja nie jem – kręci głową i zjada mi z talerza. Słowo daję, ta dziewczyna zrobi karierę jako rzecznik prasowy. Tylu się ich widuje w telewizji. Miło się uśmiechają i wmawiają mi, że to fantastycznie, że coś podróżowało.

Kudłata zanurza znowu łyżkę i siada za stołem.

– Ja lubię zupę, wiesz – śmieje się.

Nagle krzywi się, oho, znalazła kawałek grzyba w barszczu.

– Nie lubim to – rzęzi i żeby podkreślić swoje rozczarowanie, wypłuka mi do talerza wszystko, czego nie zdążyła jeszcze przeżuć.

– Jedz, tatusiu – zachęca. – Już możesz. Ja już nie lubim.

Biorę łyżkę i jem. Co mam robić? Jestem ojcem.

Potem jest drugie danie. Serwuję kotleciki i dzieci rzucają się na mój kotlecik, jakby spodziewały się znaleźć w nim złoty pierścionek. Ale nie znajdują, więc rozczarowane zostawiają go na talerzu, a Kudłata po namyśle wypłuka mi jeszcze na talerz sałatkę.

– Ja nie lubim, ty jedz, tatusiu – mówi zachęcająco.

Z tego, co wiem, to pelikany wypływają przeżute jedzenie, a ich dzieci szaleją z radości, zajmując się konsumpcją. Niestety, u ludzi najwyraźniej jest odwrotnie.

Kątem oka widzę, że Monika usiłuje szybko zjeść swoją mizериę, ale jednak jest zbyt wolna. Kudłata już jej dopada i przymilnie pyta:

– A co ty masz, mamuniu?

– Mlmlm ogórka – wydusza z siebie Monika.

– Ja lubim, wiesz. – Kudłata szczyrzy się jak rekin i sięga do miseczki.

– Blleeee, nie lubim. – Kręci głową i wypłuka z powrotem.

– Kochanie, tak nie wolno – tłumaczymy, ale oczy Kudłatej robią się wielkie i smutne, a buzia wykrzywia się w podkówkę.

– Nie lubisz mnie? – pyta.
– Lubim, lubim – wdycham i zerkam za siebie. Akurat żeby zobaczyć, jak Pitu porwał mi picie i teraz wypluwa moje wino.

– A co to, nie lubię tego – krzywi się. – Bleeeee, kupa.

Tak, też widziałem ten program o brytyjskiej zaklinaczkę dzieci. Weszła do domu, w którym dwójka dzieci terroryzowała rodziców, i bez żadnych rękoczynów spowodowała, że dzieci nagle zaczęły kłaść się do swoich łóżeczek i zjadać swoje jedzonko.

Słowo honoru – zastosowaliśmy wszystkie jej metody. I nic.

Staram się zjeść przynajmniej kanapkę, ale kiedy cichaczem otwieram lodówkę, nakrywają mnie dzieci i wrywają szynkę. Szynka już za chwilę jest wszędzie.



– Bleeeee, nie lubię tego tłuszczu – narzeka Pitu i przejeżdża ją rowerkiem.

Oto chwila prawdy. Widziałem na jakimś filmie, jak pewien żebrak rzucił się na niedojedzoną kanapkę i pożarł ją błyskawicznie.

Ja patrzę łakomie na przejechaną szynkę i już zmierzam w jej kierunku. „W końcu gdyby ją trochę otrzepać... – myślę sobie. – Nic takiego się przecież nie stało”.

Niestety, wtedy wpada na nią Kudłata i rozjeżdża się na niej na podłodze.

– Nie lubim szynka – mówi z wyrzutem, masując sobie pupę.

Patrzę się z rezygnacją. Szynka jest już wszędzie. Na bucie, na podłodze, na zabawkach. Rezygnowany kładę na bułce jajko na twardo, które jakimś cudem ocalało ze śniadania, ale zwycięstwo nie trwa długo.

– Lubim jajko – Kudłata pojawia się jak królik z kapelusza i ściąga mi jajko sprzed nosa.

Rezygnowany siadam na kanapie. Czy to takie dziwne, że nasi bezdzietni przyjaciele przestali nas odwiedzać? Owszem, zachwycali się naszymi dziećmi. Ale od chwili, kiedy Kudłata zaczęła dolewać do dań z ryżu soczku marchewkowego, a potem lepić kulki, które wrzucała do kieliszków, staliśmy się daleko mniej atrakcyjni towarzysko. No i te ślady rączek.

My się już przyzwyczailiśmy, że mamy na ubraniach czekoladę z marchewką i buraczkami, ale nasi bezdzietni przyjaciele wciąż tego nie rozumieją.

Rzecz jasna, nie skarżą się. Mówią:

– Och, to tylko dzieci, nie przejmujcie się, przecież się upierze.

Ale potem nie dzwonią, wymigują się od przyjsia, twierdzą, że mają setki ważnych spraw do załatwienia.

– Może choć raz zjedlibyście porządnie, bez brudzenia? – proponuję.

– Dobrze, tatusiu – zgadzają się ochoczo.

– Ja posprzątam – zgłasza się Kudłata na ochotnika. – Ojej, upadło – martwi się, patrząc na talerz pod stołem.

Machamy ręką. A co tam. Na szczęście nie posiadamy rodowej zastawy po babci. Swoją drogą, dziwne, jak te zastawy były w stanie przetrwać tyle czasu. My, na przykład, mamy bardzo dużo talerzy i filiżanek, które do niczego nie pasują i należą do kilku różnych kom-

pletów. Niebieskie, białe, zielone. Co kilka dni kolejne lądują w koszu, a Kudłata rozkłada rączki.

– Ojajku, popsuło się.

Monika wpadła na genialny pomysł i zaczęła podawać naszym dzieciom jedzenie w metalowych naczyniach turystycznych. Niestety, Kudłatej się nie spodobały. Trochę szkoda mi filiżanek z Francji, ale co tam. Za dwadzieścia parę lat kupię sobie nowe, a teraz mogę przecież pić z plastikowego kubka. To nawet bardziej praktyczne, bo potem nie muszę go myć.

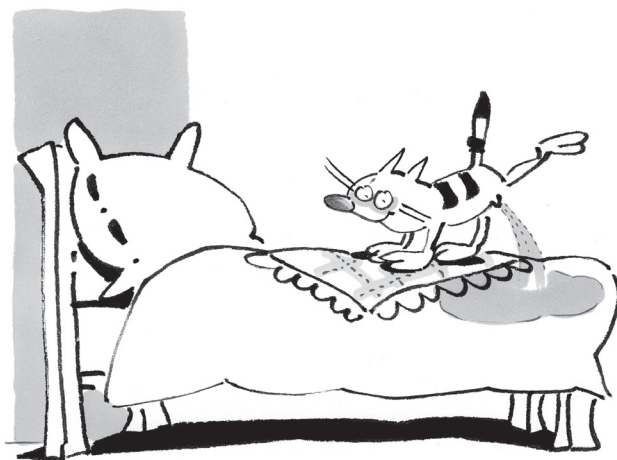
W naszą kanapę wtarta jest czekolada i żadne środki chemiczne na nią nie poradzą.

– Już jestem czysta, tatusiu – uśmiechnęła się Kudłata, kiedy już się cała wytarła o kanapę.

Goście bez dzieci uśmiechają się pod przymusem, kiedy oprą się o kanapę i trochę czekolady zostaje im na garniturze. No cóż. Staram się zrozumieć. Jeśli o mnie chodzi, to mojej koszulce kawałek czekolady na pewno nie zaszkodzi.

Zerkam na mieszkanie. Zupełnie nie pomyśleliśmy o tym, że dookoła wyspy kuchennej będą trwały wyścigi rowerowe. I że listwy podłogowe odrywają się, kiedy najedzie na nie Pitu. Ale co tam, bez listew też nie jest tak źle. Te dziury w podłodze na początku trochę raziły. Zwłaszcza że podłogi miały być twarde i odporne na wszelkie czynniki, jak zapewniał sprzedawca. No trudno, nie miał najwyraźniej na myśli dzieci, tylko, powiedzmy, tsunami. Pitu z Kudłatą wyrąbali te dziury samochodzikami. W końcu się przyzwyczailiśmy. Tak samo jak do wgnieceń w wannie zrobionych przy pomocy statku pirackiego.

No dobra, powiedzmy sobie szczerze. To było całkiem miłe mieszkanie, a teraz wygląda jak melina. Staramy się. Na bieżąco usuwamy kałuże, które zostawia za sobą Kudłata. Ona świetnie wie, że sika się do nocnika, ale czasem nie ma czasu i sika pod stołem. Koty też sikają na potęgę. Trochę dlatego, że Kudłata chowa im kuwetę. A trochę dlatego, że je gania po mieszkaniu, więc się mszczą i sikają jej albo nam do łóżka. No trudno, da się przeżyć.



Zmywamy plamy po marchewce na ścianach, ale nie mamy sił, żeby naprawić rolety i firanki. Dzieciaki postanowiły trochę się na nich powieszać i teraz wszystko smętnie zwisa z karniszy. Ale cóż, dobrze, że zwisa. Mogło przecież całkiem opaść.

Wczoraj wreszcie oddałem samochód do czyszczenia. Kto by pomyślał, że dzieci zgromadziły w nim taką kolekcję pustych kartoników po soczkach. Dokładnie dwadzieścia trzy. Chociaż nie, przepraszam. Nie wszystkie były puste, więc trochę zaczęły śmierdzieć. Zwłaszcza te, z których się wylało pod siedzenia. Pod fotelikami nazbierało się też trochę okruszków i szyneczki. Spory zapas cukiereczków. W większości, niestety, do połowy przeżutych, więc trudno je było odkleić od tapicerki. Papierków po lizaczkach nie liczyłem.

Na szczęście udało się domyc samochód. Obsługa myjni dziwnie mi się przyglądała, a właściciel z naciskiem powtórzył trzy razy, że przeciętny samochód myje się dwukrotnie. Mój natomiast musiał być myty pięciokrotnie. Potem powiedział, że zaprasza ponownie, ale wołałby, żebym przyjechał czystszy samochodem, albo będzie musiał zaproponować mi specjalną cenę dla najbrudniejszych klientów.

Cóż, najwyraźniej nie ma dzieci.

Jeśli chodzi o mnie, to nie powiem, chętnie bym nawet zmienił koszulkę, którą noszę od trzech dni, ale Monika mówi, że nie ma czasu mi uprać, pralka chodzi na okrągło, bo Pitu właśnie w nocy zalał koldrę soczkiem, a Kudłata po kryjomu zabrała do łóżka nutellę i teraz wszystko jest czekoladowe.

Dzieci poszły już spać, a ja wreszcie mogę iść do lodówki i poszukać czegoś do jedzenia. Została tylko ta resztką nutelli, ale co tam – nawet dobre i słodkie. Pod stołem znalazłem resztkę rozciapcianej butki i szybko zjadłem, rozglądając się bacznie na boki. Na szczęście już śpią i nikt nie odbierze mi łupu. Tak, kiedyś nie jadłem z podłogi, ale w końcu okazało się, że w naszym domu wszystko jest na podłodze. Dzieci stosują taktykę spalonej ziemi. Też o tym czytałem. Tacy Tatarzy albo, powiedzmy, Szwedzi robili to samo. Najeżdżali nas, zabierali to, co się dało szybko zapakować, zjadali to, co się dało, a resztę palili albo niszczyli w jakiś inny sposób. No i dzieci niewątpliwie mają w sobie w coś z Tatara. Nie mają ochoty na jajko na twardo, które ja bym chętnie zjadł – to rozdepczą je na podłodze albo rzucą nim o ścianę.

Zerknąłem na ubranie, ale nie jest źle. Nie zmienię jeszcze tej koszulki. Tych kilka plam naprawdę nie rzuca się w oczy. To była bardzo mądra decyzja, żeby zacząć się ubierać w koszulki koloru brudnego. Jutro zadzwonię do rodziców Jasia albo Oksanki. Umówimy się, pogadamy, pozbieramy jedzenie z podłogi.

Oni mnie zrozumieją.

Jak negocjować z dziećmi,

czyli spółka

Obiegowa opinia głosi, że przedstawiciele wschodnich nacji targują się najlepiej. Taki Ormianin czy Arab potrafi wszystko człowiekowi sprzedać albo od niego kupić.

Obiegowe opinie są mylące. Przeciętny Arab z suku w Damaszku ani by się obejrzał, a Pitu i Kudłata by go kupili i sprzedali razem ze stoiskiem.

Nie przypominam sobie, żeby ktokolwiek mnie ostrzegął, że posiadanie dzieci to konieczność zamienienia się w negocjatora, który trwa na posterunku całą dobę. Pitu to twardy zawodnik i wie, gdzie stoją konfitury. Kudłata na oko wdzięcznie uśmiechnięta, ale to stal w jedwabnej rękawiczce. Targ zaczyna się od samego rana.

– Masz cukiereczki albo lizaczka? – dopytuje się z nadzieją w głosie mój syn.

– Mam kanapeczki – odpowiadam z umiarkowanym entuzjazmem, jest jeszcze rano.

– Daj lizaczka – decyduje Pitu, nie dzwoniąc do przyjaciela.

– Proszę, kanapeczka – rzucam swoje atuty.

– Jak nie dasz lizaka, to pobiję Kudłatą – odgraża się Pitu.

– Jak pobijesz Kudłatą, to... – w tym momencie trochę się zawieszam. No bo co właściwie mam zrobić, jak pobije Kudłatą? – Jak pobijesz Kudłatą, to nie będzie bajki w telewizji.

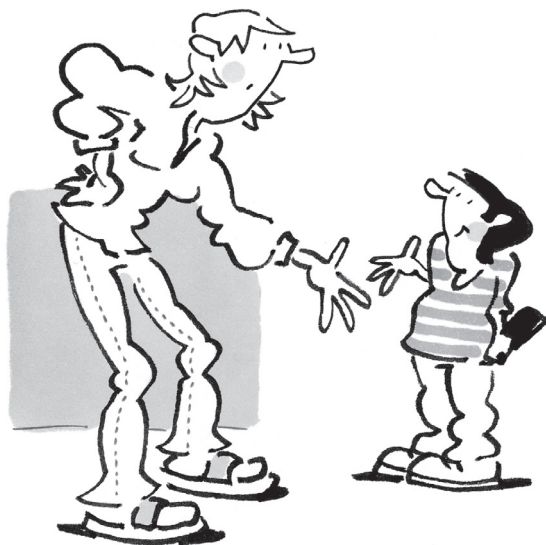
– Ależ będzie – uśmiecha się Pitu.

– Nie będzie.

– Właśnie, że będzie – odkrzykuje Pitu i zabiera pilota.

No tak. Nie od dziś wiadomo, że kto ma pilota, ten ma władzę. Amerykańscy naukowcy przebadali nawet tysiące rodziców i z badań wynikało niezbitie, że pilota piastują mężczyźni. Jeśli trafi się kobieta, to znaczy, że to ona w tej rodzinie dokonuje wyborów – nie tylko telewizyjnych, ale również ekonomicznych.

Jasne, ale ani słowa nie było o dzieciach. Tymczasem Pitu wyczuł, gdy tylko sam stanął na nogi, że pilot to władza. I usiłuje rządzić.



– Jak nie dasz cukiereczka, to nie pozwolę wam obejrzeć filmu – mówi.

– Co takiego? – dziwi się Monika. – Natychmiast oddaj pilota.

– Nie oddam! – wrzeszczy Pitu i zwiewa, jak szybko może.

Ja lecę za nim, a Monika przecina mu drogę ucieczki. Już prawie go mamy, kiedy Pitu dopada do Kudłatej i rzuca jej pilota. Teraz Kudłata zwiewa, wrzeszcząc wniebogłosy, a Pitu wzrusza ramionami.

– Nie mam pilota, to Kudłata zabrała. Ja byłem grzeczny – daj cukiereczka.

– Nic z tego – dyszę. – Kanapeczka.

– To rozrzucę zabawki.

Ha, cwana bestia, ale my tak łatwo się nie poddamy. W końcu oglądaliśmy więcej filmów od niego i wiemy, co by zrobił Bruce Willis na naszym miejscu. No tak, ale tego akurat nie możemy zrobić.

Monika przetacza na wiadomości, a Pitu staje jak Rejtan przed telewizorem i mówi:

– Nie pozwolę wam oglądać.

– Ej! – mówię, starając się, żeby zabrzmiało to groźnie. – Ej! Nie pozwolę i już.

Wstaję, żeby pokazać, kto tu ma pilota, więc Pitu zwiewa i przewraca Kudłatą. Kudłata widowiskowo pada, rycząc jak syrena okrętowa, więc Monika idzie sprawdzić, czy są ranni. Pitu błyskawicznie znajduje się przy stole i zwija pilota, po czym spokojnie przełącza na jakąś kreskówkę o wrednych mutantach. Kudłata natychmiast wstaje i przestaje ryczeć, nagle czarodziejsko jest już zdrowa, co rodzi brzydkie podejrzenia o znowę, ale nie mam czasu się nad tym zastanawiać.

– Natychmiast dawaj pilota – irytuję się, bo właśnie w wiadomościach mieli powiedzieć, czy kurs walut spadnie, czy wzrośnie i czy przypadkiem nie zostaniemy bankrutami.

– A pójdziemy do cyrku? – targuje się Pitu.

– OK, pójdziemy – kapituluję.

– Ale dziś?

– Nie, dziś nie mogę. Możemy pójść jutro – proponuję i przełączam na wiadomości. Cholera, nie wiadomo co z tymi walutami. Teraz leci jakiś materiał o wystawie psów. Wygrał pudel.

– Nie jutro! – zwija się na podłozie Pitu, jakbym go właśnie walnął sierpowym. – Nie krzywdź mnie, tatuniu

– Kochanie, nie krzywdzę cię – tłumaczę i zastanawiam się, co by powiedział ktoś, kto by akurat wszedł do naszego mieszkania. Pitu zauważył, że to robi wrażenie, i kiedy na spacerze nie chcę kupić kolejnego lizaczka, pada na ziemię, wrzeszcząc: „Nie krzywdź mnie, tatusiu”. To zadziwiająco dobra taktyka.

– Nie mogę jutro. Dziś chcę – zawodzi Pitu.

– Jutro, bo dziś pracuję.

– Dobrze, jutro, ale daj cukiereczka – Pitu ociera łzy i wstaje z podłogi.

– Daj mu już tego cukierka – poddaje się Monika.

Pitu jest rewelacyjny. Nie umie czytać, więc nie przeczytał książki „Wywieranie wpływu na ludzi”, ale właśnie stosuje jedną z opisanych technik: prośenie o większą rzecz po to, żeby dostać mniejszą.

– Chcę bajkę – mruczy tymczasem Kudłata i przełącza telewizor na jakieś wredne mutanty, bo jakimś cudem weszła w posiadanie pilota.

– Dawaj pilota! – woła Monika.

– Nie dam, nie dam! – piszczy Kudłata i zwiewa. – Pitu, ratunku!

Przełączam na wiadomości. Już się skończyły i nie wiem, kto wygrał mecz na szczycie.

– To chcę kanapeczkę – podpuszcza mnie tymczasem Pitulek. – Jestem głodny.

Idę po tę kanapeczkę i słyszę, że za moimi plecami wredne mutanty rozpoczęły kolejny pojedynek.

– Kto buchnął pilota? – Odwracam się.

– To nie ja, to ona. – Rozkłada ręce Pitu.

– To on, to on! – Podskakuje Kudłata.

Przynoszę kanapeczki i znajduję pilota przemyślnie schowanego pod kanapą. Przełączam na film i kątem oka widzę, że Kudłata gryzie Pitu w plecy. Pitu wrzeszczy i goni ją po pokoju.

– Daj spokój – przekonuję go.

– Nie pobiję jej, jak dostanę lizaczka – pertraktuję Pitu.

– Hej, a co to ma być? – nastroszyłem się. – Myślałem, że jej nie pobijesz, bo jest twoją siostrzyczką.

– Nie lubię jej. Daj lizaczka.

– Bądźcie chwilę cicho – proszę. – Muszę zadzwonić służbowo.

Wykręcam numer i w tej chwili Kudłata włącza mutanty, a Pitu wali ją poduszką.

– Pobił mnie! – ryczy Kudłata.

– Bo ukradła pilota – tłumaczy Pitu.

– Czy ja mogę zadzwonić? – dopytuję się. – To ważna rozmowa. Tylko kilka minut.

– A dasz lizaczka? – zastanawia się Pitu nad moją petycją.

– Ugryzę Pitu – szczerzy się Kudłata.

Przekonuję ją, żeby go nie gryzła. Potem macham ręką i daję im te lizaczki. A niech tam. Zerkam do salonu i widzę, że siedzą na kanapie, pożerają lizaczki, a Kudłata obsypuje się cukrem. W telewizji lecą



wredne mutanty i moje dzieci najwyraźniej po raz pierwszy tego dnia są szczęśliwe.

One mają cukiereczki, mają pilota i mają władzę.

A mnie udało się zadzwonić.

Po kilku latach z dziećmi już wiem, że mogło być znacznie gorzej, i wymykam się z Moniką na balkon.

– Dałam im te lizaczki – wzdycha Monika. – Musiałam pilnie napisać kilka zdań, a one cały czas się tłukły.

– Ja też im dałem lizaczki. Musiałem zatelefonować.

Zerkam przez szybę na nasze dzieci. Bawią się świetnie. Pitu trzyma lizaczki, a Kudłata pilota. Siedzą w doskonałej komitywie jak stare zgodne małżeństwo i częstują się lizaczkami.

– Ej, Kudłata, pogłośnij – mruczy Pitu.

– Daj lizaczka! – woła Kudłata, a Pitu wkłada jej do buzi cukierki.

Telewizor drze się jak opętany, a Kudłata odwiją kolejnego lizaczka.



– Włączymy Scooby? – dopytuje się Kudłata i klepie Pitulka po plecach.

– Dobra Kudłata – kiwa głową Pitu. – Masz jeszcze czekoladkę. A chcesz kinderniespodziankę?

Kudłata kiwa głową, że chce. Pitu idzie do mnie, przybiera groźną minę i mówi:

– Daj kinderniespodziankę, bo pobiję Kudłatą.



----- Idealny rodzic, ----- czyli byt nieistniejący

Wstałem o szóstej rano, żeby sprzątnąć pobojowisko, które zostawiły dzieci. Cicho, żeby ich nie obudzić, zamiotłem cały pokój. Wytarłem stół, na który napluły sokiem, żeby kiedy wstaną, nie przykleiły się do wilgotnej, lepkiej powierzchni. Potem wstawiłem jajka na twardo. Od kilku dni domagały się rano na śniadanie jajek na twardo. Nigdy nie wiedziałem, czy chcą po jednym, czy może po trzy. Zanim ugotowałem kolejne, buczały, że są głodne. Na wszelki wypadek wstawiłem wszystkie jajka. Najwyżej resztę zjem sam.

Potem skoczyłem na dół do sklepu po cukiereczki czekoladowe i batoniki oraz rogaliki dla Pitulka i palucha z sezamem dla Kudłatej. Wróciłem akurat w samą porę, żeby przywitać dzieci wytażące z łóżek.



– Śniadanko gotowe! – Uśmiechnąłem się czule.

Pitu był głodny – zjadł dwa jajka i rogalika, a Kudłata za to w ogóle. Wdeptała swoje jajka w podłogę i przejechała po nich traktorkiem. Uśmiechnąłem się i zebrałem je zmiotką.

Potem pokruszyły na podłogę palucha i rogalika. Nie mam pojęcia, dlaczego zawsze domagają się paluchów i rogalików. Przecież nigdy ich nie jedzą, za to zawsze kruszą. Ale skoro sprawia im to przyjemność, nie będę im tego odbierał. Kiedy już pokruszyły wszystko, nadjechałem z odkurzaczem i posprzątałem pokój.

– Teraz włączę wam bajkę. – Uśmiechnąłem się.

Dzieci zasiadły na kanapie, wpatrując się w telewizor, a ja dałem im batoniki i cukierki czekoladowe, które Kudłata bardzo dokładnie zaczęła wcierać we włosy i w kanapę.

Sam usiadłem na drugiej kanapie i komentowałem przebieg akcji. Akurat jakiś piesek przeżywał niesamowitą przygodę – zaskoczyła go wielka mysz.

Chętnie zajrzałbym do poczty w komputerze, ale, rzecz jasna, tego nie zrobiłem. Moje dzieci nienawidzą, kiedy zostawiam je i zajmuję się swoimi sprawami. Nawet jeśli akurat oglądają bajkę, wymagają, żebym też oglądał i w odpowiednich momentach chował się za poduszkę, rzucał cukierkami w potwora na ekranie i donosił chipsy i soczki. Donosiłem więc chipsy i soczki i nawet do głowy mi nie przyszło, że dobrze by było przeczytać gazetę.

Monika w tym czasie zajmowała się tym, co powinna robić mama. Zbierała z całego mieszkania zaplamione poprzedniego dnia fragmenty odzieży dzieci i wsadzała je do pralki. Kiedy już włączyła pranie, zajęła się układaniem koszulek Pitulka kolorami – Pitu jest bowiem rygorystą i jeśli umyśli sobie włożyć akurat koszulkę czerwoną – musi mieć czerwoną.

Koło dziesiątej przed południem wychodzę z dziećmi na spacer. Monika zostaje w domu, żeby odkurzyć pokój zastany chipsami i cukiereczkami.

My oczywiście najpierw zwiedzamy sklep na dole i kupujemy cukiereczki i jajka niespodzianki. Potem przechadzka na plac zabaw, gdzie Kudłata chce, żebym pół godziny ją bujał, a Pitu, żebym go gonił. Na przemian gonię i bujam. Prawie padam z wysiłku, na szczęście zjawia się Monika, która już posprzątała i uprała. Teraz ona buja, więc ja mogę

tylko gonić. Nadal padam, ale przynajmniej Kudłata nie drze się już na mnie, że za słabo bujam. Teraz drze się na Monikę.

W końcu dzieci się nudzą, więc idziemy na kryty plac zabaw. Kosztuje 50 złotych, ale dzieci go uwielbiają. Zamawiają dwa wielkie talerze frytek i każą się gonić po labiryncie korytarzy, gdzie co chwila zderzamy się z trzylatkami. Około piętnastej wracamy do domu, bo dzieci narzekają, że się zmęczyły. Ja biorę na barana Pitulka, a Monika Kudłatą. Jakoś donosimy ich do samochodu i tam zapadają w drzemkę. Uwielbiają spać w samochodzie. Dzięki temu nie muszą spać wieczorem i mogą dłużej skakać nam po głowach. Idziemy do sklepu. Kupujemy czekoladę i jajka niespodzianki, a także coś na obiad. Kluseczki w sosie keczupowym. Dzieci to uwielbiają i jedzą codziennie. Na szczęście przepis jest banalnie prosty. Ugotować kluski i zalać keczupem.

Wracamy do domu. Ja gotuję kluski i zalewam keczupem. Pitulkowi wrzucam pokrojone czarne oliwki.

Monika tymczasem zabawia dzieci, udając niedźwiedzia.

Pitu i Kudłata jedzą i oglądają bajkę, a my donosimy soczki i batoniki. Kiedy już odpoczną, zabieramy je na spacer. Pitu bierze rowerek, więc ja biegnę za nim, uważając, żeby nie wpadł pod samochód, a Monika



biegnie za nami z Kudłatą na rękach. Byłoby prościej, gdyby Kudłata też jechała na rowerku, ale z niewiadomego powodu zgadza się jeździć tylko w domu. Wracamy w sam raz na dobranockę. Ach, bym zapomniał. Po drodze wpadamy do bankomatu. Dzieci uwielbiają wciskać guziczki i wyciągać pieniądze.

Wyciągamy całą masę pieniędzy. Dzieci są zachwycone. My też. Dobrze, że bankomaty produkują tyle tych pieniędzy. Sami przecież już od dawna nic nie zarobiliśmy. Nawet byśmy chcieli, ale przecież nie mamy czasu. Nawet kilku minut. Zresztą, kto by nas chciał zatrudnić. Wyglądamy dosyć dziwnie – sami to przyznajemy. Kilka tygodni temu miałem wolnych parę minut i wpadł mi w ręce artykuł o tym, jak godzić wychowanie dzieci z pracą. Uśmiełem się setnie. Autorka, rzecz jasna, bała się napisać prawdę – że się nie da pogodzić. Napisała, że trzeba być zorganizowanym i należy wykroić czas dla dzieci, czas dla pracy i czas dla siebie. Aha, i dla współmałżonka też. O, już dzieci się o to postarają. Wykroili sobie cały czas.

Jedyne, co zapamiętałem z lekcji chemii w szkole, to opowieść o gazie. Mianowicie gaz wypuszczony z pojemnika zajmuje całą dostępną przestrzeń.

Otóż nasze dzieci zachowują się identycznie. Zajęły całą dostępną przestrzeń.

Może dlatego ja mam wciąż pod kurtką pizamę, mimo że zbliża się wieczór. Nie zdążyłem się rano umyć ani ubrać, a Monika nie zdążyła nic nam wyprać, bo wciąż pierze dzieciom.

Dzieciom właściwie to nie przeszkadza, że chodzimy potargani i w piżamach. Nam też to przestało zawadzać.

Po dobranocce żądają coca-coli, więc im dajemy. Wieczorem mają głupawkę. Biegają po mieszkaniu i trzeba je gonić. Na stole budują piramidy z naszych ubrań i poduszek i obrzucają się chipsami.

W końcu, rzecz jasna, padają. Kładziemy je do łóżeczek przed dwudziestą trzecią.

Sami wracamy do salonu i sprzątamy poduszki i samochodziki. Wstanę jutro o szóstej i zamiotę. Po północy kładziemy się spać. Śpię jak kamień

do drugiej w nocy, bo wtedy Kudłata budzi się i wrzeszczy, że za oknem jest potwór. Przez pół godziny siedzimy z nią i przekonujemy, że potwora nie ma. Idziemy spać i aż do czwartej rano mamy spokój. Wtedy budzi się Pitu i chce, żeby mu zapalić światło, bo idzie na siku i nalać soczku.

Idziemy spać i mamy wolne do szóstej rano.

Tak, nie ma idealnych rodziców (choć większość łącznie z nami za takich się uważa), nie ma idealnych dzieci (choć wszystkie się za takie uważają).

Tak właśnie wyglądałby dzień, gdybym tylko był idealnym rodzicem. I w tym momencie się obudziłem.

Wstaliśmy o szóstej i Monika zamioła chipsy pod kanapę.

Zrobiłem jajecznicę, bo to prostsze i szybsze. Nie dodałem do jajecznicy cukierków. Wrzeszczą i protestują? Trudno. Nałożyłem sobie walkmana na uszy. Od razu lepiej.

Nalałem soczku. Monika wytarła siku z podłogi i sprawdziła pocztę w komputerze.

Nie. Nie jesteśmy ideałami.

Tu są robaki, czyli sztuka blefu

Zasady wojny psychologicznej od setek lat pozostają niezmiennie. Przeciwnika albo należy nastraszyć, albo zablefować w taki sposób, żeby zbić go z pantałyku. W średniowieczu głodujący obrońcy twierdz przynosili na mury ostatnie kęski jedzenia i wyrzucali – że niby im nie smakują. Potem demonstracyjnie brali kąpiel, oblewając się strugami wody – mimo że były to ostatnie krople i właśnie co słabsi i bardziej chorzy mieszkańcy umierali z pragnienia.

Co myśleli sobie przeciwnicy, obserwując taką demonstrację? Ano, nie mieli wątpliwości.

„Pewnie mają tyle jedzenia, że mogą się bronić jeszcze kilka lat” – mówili sobie i zwijali sprzęt oblężniczy.

Rzecz jasna, sposobów było więcej. Jeśli to oblegający byli sprytni, mogli rozpalić tysiące ognisk, udając, że pod zamkiem koczuje gigantyczna armia. Przerażeni mieszkańcy zamku spieszyli z białą flagą i ze zdumieniem obserwowali, że napastnicy to garstka obdartusów na wychudzonych szkapach.

Tyle stuleci doświadczeń nie poszło na marne. Nasze dzieci teoretycznie są małe, ale przecież to tylko pozory. Zagoniłyby do kąta każdego wodza, wyrachowaniem przewyższając Sullę, a szybkością działania Aleksandra.

Pitu siedzi na podłodze i niby buduje kolejkę. Ale tak naprawdę zerką na Kudłatą, która dzierży dwa samochodziki. Pitu się ucywilizował, jeszcze niedawno podszedłby, palnął w głowę i odszedł z tupem. Ale ostatnio przeszedł przemianę. Owszem, rękę dalej ma ciężką, jednak na co dzień zaczął używać innych argumentów. Cóż, metody się zmieniają, ale ludzie i cele zostają tacy sami – co odnosi się i do dzieci, i do polityków.

- Robak idzie – mruczy Pitu niby to do siebie.
- Gdzie robak, gdzie robak? – podrywa się Kudłata. – Tata, robak idzie, uratuj mnie! – wrzeszczy i zwiewa mi na ręce.
- Nie ma robaka – tłumaczę. – Nie bój się.
- Nie ma? – nieufnie dopytuje się Kudłata.

– Nie ma na pewno – przekonuję lekko zmęczonym głosem. Dziś już czterdzieści razy ratowałem ją przed robakiem, a przecież dopiero pora obiadu. Nie mam pojęcia, dlaczego nagle przeraziła się, że robak może jej coś zrobić. Przecież do tej pory z zapalem obserwowała muchy, mrówki, wszystko, co tylko poruszało się albo latało. Aż tu nagle zaczęła wrzeszczeć ze strachu na widok motylka. Rozumiem – pająki. Ale motylki?

– Ej, Pitu, gdzie ty widziałeś robaka? – pytam mojego syna, który patrzy na mnie niewinnym spojrzeniem aniołka.

– Tu przecież nie ma robaków, tatusiu – mówi Pitu. – Kudłata jest malutka, pewnie sobie coś wymyśliła.

– Słyszałem, że mówiłaś coś o robaku – nie ustępuję.

– Nie, ja śpiewałem tylko taką piosenkę – wyjaśnia Pitu. – Robaki, idą robaki, tu są.

Muszę zaakceptować to wyjaśnienie. Cóż, jestem w końcu dziennikarzem. Powinienem być do tego przyzwyczajony. Wystarczy, że włączę telewizor, a tam jakiś dziennikarz przepytuje polityka:

– Czy wyższe podatki są lepsze? Czy naprawdę sądzi pan, że taka umowa wzmocni pozycję Polski?

– Oczywiście, że tak – odpowiada polityk i ani mrugnie. – Wszyscy obywatele są za wyższymi podatkami.

No, niestety, dziennikarz zamiast postukać polityka w głowę, przechodzi do następnego pytania. Ja tak samo – wiem, że prawda leży gdzie indziej, ale muszę się trzymać politycznej poprawności.

Staję za drzwiami i słyszę, że Pitulek idzie o krok dalej.

– Robak siedzi w twoim łóżku, wiesz, Kudłata?

– Robak, robak, tata, uratuj mnie! – wrzeszczy Kudłata, jakby ją zarzynali, i skacze mi na plecy.

Biorę Pitu na rozmowę.

– Nie wolno straszyć siostry – tłumaczę.

– Ja nie straszę, widziałem, że był robak – tłumaczy Pitu. W łapie ściska dwa samochodziki, które zgarnął Kudłatej, kiedy ta zwiewała, wrzeszcząc.

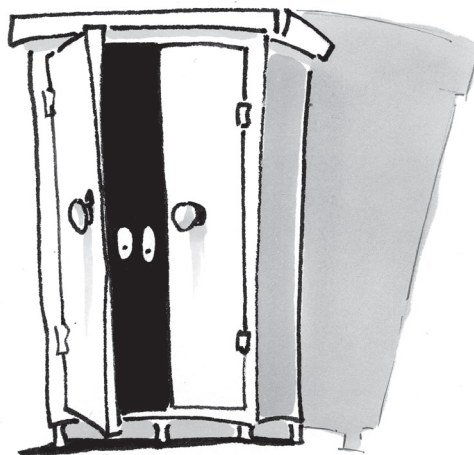


Wieczorem kładziemy dzieci do łóżka.

– Tylko nie opowiadaj Kudłatej o robakach. Obiecujesz? – domagam się od Pitu.

– No dobrze, dobrze – wzrusza ramionami.

– Ej, Kudłata – dobiega mnie cichy szepł po kilku minutach. – A w szafie mieszka El, wiesz.



– Mama, ratuj! El jest! – ryczy Kudłata na całe gardło i wypada z łóżka.

Monika wbiega do pokoju.

– El, El mieszka w szafie. Rekin tam jest – mruczy Pitu i ledwo wystaje spod kołdry. – Chcę spać – narzeka. – Ja śpię, a Kudłata mnie budzi. Trzeba dać jej klapsa.

– A kto opowiedział jej, że w szafie jest potwór? – pyta Monika.

– Nie ma potwora, w szafie wiszą koszulki. Chcę spać – kończy dyskusję Pitu, patrząc na nas jak na opóźnionych mentalnie. – Powiedzcie jej, żeby spała, bo ja jestem grzeczny.

Następnego dnia Kudłata znowu ucieka przed robakami. Nasza córka nie w ciemię bita. Jeszcze nie wie, że robaki to blef, ale zaczyna swoją wojnę.

– Ty lubisz mamę? – dopytuje się Pitulka.

– Lubię, lubię – mówi Pitu.

– A tatę lubisz? – pyta dalej.

– Lubię – potwierdza Pitu.

Kudłata wypada z pokoju i pędzi do mnie. Hop, wskakuje na kolana i gromko obwieszcza:

– A Pitu nie lubi mamy, nie lubi taty.

– Lubię mamę – ryczy Pitu, ścigając ją z rakiетką.

– Pitu nie lubi, ja lubim – oskarżycielsko wskazuje Kudłata.

– Ja lubię, naprawdę lubię! – Pitu zaczyna płakać i usiłuje przyłożyć jej rakiетką.

– Ależ wierzę, wierzę – pocieszam go. – No, nie rycz. Kudłata tylko żartuje.

– On nie lubi taty. – Mściwie wskazuje Kudłata i obejmuje mnie za szyję. – Ja lubim tatę.



Zrób to sam,

czyli co zrobić z samodzielnym dzieckiem

Dawno temu w szkole poznałem wierszyk o Zosi Samosi. „Wszystko sama lepiej wie, wszystko sama zrobić chce”.

Rzecz jasna, nie czytałem tego wierszyka jako utajonej frustracji ojca, tylko jako zabawną rymowanąkę.

Bycie ojcem sprawia, że oczy otwierają się na wiele rzeczy. Oł, weźmy zabawne historyjki o Misiu Paddingtonie. Kiedyś czytałem je i do głowy mi nie przyszło, że to coś więcej niż zabawne opowieści o gadającym misiu, który a to zgubił się na dworcu, a to zalał łazienkę albo coś zniszczył.

Dziś wiem, rzecz jasna, że miś to żaden miś. Gdyby w każdej opowiadstce o Misiu wykreślić „Paddington”, a wstawić „Pitulek”, nikt by się nie zorientował, że coś nie gra. Pitulek rozwala ojcu zegarek, Pitulek zalewa łazienkę, Pitulek gubi się na dworcu – tak, wszystko pasuje idealnie.

Paddingtona napisał zestresowany ojciec, który nie mógł znieść wybryków dziecka, więc odreagował i napisał opowiadstkę dla dzieci.

Niechybnie z Zosią Samosią było tak samo. Kiedy się o Zosi czyta, wydaje się, że to tylko zabawny wierszyk. A to zupełnie jak z Kudłatą. Kiedy opowiadam znajomym o jej czynach – chichoczą. Chyba że sami mają dzieci – wtedy poklepują mnie pocieszająco po plecach i mówią cicho: – Trzymaj się!

W każdym razie Kudłata postanowiła zostać Zosią Samosią z dnia na dzień. Wydawałoby się, że jako rodzice z kilkuletnim stażem powinniśmy się zaniepokoić. Ale nic takiego się nie stało.

Pewnego dnia Kudłata oświadczyła, że chce sama założyć buty.

– Proszę bardzo – powiedziałem ucieszony i rzuciłem jeszcze w stronę Pitulka.

– Popatrz tylko, taka mała, a sama się ubiera.

– Załóż mi buty – mruknął Pitu, puszczając aluzję mimo uszu.

Po dziesięciominutowej walce z butami Kudłata dumnie wyszła, a my za nią, wcale nie podejrzewając, że oto zaczął się nowy etap w naszym życiu.



– Ja sama – powiedziała Kudłata w windzie i wspięła się na palce, żeby nacisnąć przycisk.

– Ja sama! – wrzasnęła w sklepie i uparła się, żeby pchać wózek.

– Ja sama. – Odepchnęła mnie, kiedy próbowałem dać jej rękę na schodach.

Jednym słowem, zamieniła się w Zosię Samosię.

Cóż, Pitu nigdy nie miał takich ciągót i tylko to usprawiedliwia naszą niewiedzę. Właściwie to Pitu miał wręcz przeciwne ciągoty, traktując nas jako podręcznych kamerdynerów, zawsze gotowych coś założyć, naprawić albo przygotować. Nic dziwnego, że nie byliśmy przygotowani na Kudłatą Samosię.

– Ja sama – usłyszałem, kiedy zamierałem wyjąć naczynia ze zmywarki.

– Pomożesz? Super – ucieszyłem się.

Jeden talerzyk padł ofiarą gorliwości, ale przecież nie będę zniechęcał dziecka.

– Bardzo ładnie – pochwaliłem.

– Ja sama – usłyszała Monika przy wkładaniu ubrań do pralki.

– Kochana, pomożesz mi? – ucieszyła się Monika. – Zanieś, proszę, skarpetki.

– Ja sama – słyszeliśmy, kiedy wracaliśmy z zakupami. Kudłata brała siatki i z samozaparciem ciągnęła do drzwi.

No cóż, straty były coraz dotkliwsze. A to stłukła się butelka wina, którą Kudłata umyśliła sobie przenieść. A to okazało się, że w pralce oprócz ubrań brudnych uprały się też ubrania czyste. Ale któż by gasił entuzjazm dziecka?

– Bardzo ładnie – chwaliliśmy.

Pitu puchł z zazdrości, ale postanowił, że sam nie ruszy palcem. Kudłata tymczasem zaczynała dzień od ubrania się, umycia ząbków, uczesania się. Wszystkie te czynności wykonywała powoli i z należytym namaszczeniem.

No cóż, minęły chyba ze dwa tygodnie, zanim coś nam zaczęło przeszkadzać.

Fajnie jest mieć samodzielne dziecko. Ciężko też zaprzeczyć, że fajnie mieć dziecko, które wszystko stara się zrobić porządnie. A kto by się ośmielił stwierdzić, że porządek dziecka nieco go irytuje? A nawet bardzo denerwuje? Wręcz doprowadza do szału?

W poniedziałek rano mieliśmy milion spraw do załatwienia.

– Chodźmy już, szybciotko idziemy – poganialiśmy Kudłatą, która z namysłem przymierzała bluzkę.



– Pomogę ci – zaproponowałem niebacznie.

– Ja sama, sama, sama! – ryknęła moja córka.

– Tak jest, sama, ale troszkę szybciej – zaproponowałem.

– Ja sama! – wrzasnęła Kudłata i schowała się w łazience.

Nerwowo przestępowaliśmy z nogi na nogę. Minęło już dziesięć minut. Zajrzałem przez dziurkę od klucza. Kudłata wciąż była przy pierwszym guziku, a z doświadczenia wiedziałem, że zapięcie wszystkich dwóch guzików zajmie jej jakąś godzinę.

W życiu ojca zdarzają się sytuacje, kiedy trzeba improwizować i wykazać się przy tym sprawnością Davida Copperfielda.

– Fruuuuu! – Wpadłem do łazienki. – Sroczka przyleciała, Kudłata porwała! – Lewą ręką pokazałem jej balonik, a prawą zapiąłem guziki.
– Jejku, już zapiętaś – zdziwiłem się. – To idziemy.
– Nie, nie, jeszcze buty. Sama buty. – Rozwiąta moje nadzieje Kudłata.

Opadłem na kanapę.

Miałem spotkać się na mieście z pewnym ważnym człowiekiem, mój zegarek pokazywał, że mam jeszcze dziesięć minut, tymczasem Kudłata niezrażona kolejnymi niepowodzeniami starała się zapiąć buciki.

Nie będę pisał, co było dalej. Nie opiszę całej wstrząsającej podróży windą i po schodach – powiem tylko, że trwała około pół godziny. Ba, samo wejście do samochodu i zajęcie miejsca w foteliku zajęło nam kwadrans.

Kudłata postanowiła zrobić wszystko sama, łącznie z zamknięciem drzwi w samochodzie. Niestety, do drzwi nie dosięgała. W przypiływie rozpaczony popchnąłem drzwi, co uznała za zdradę i rozpoczęła procedurę gramolenia się na fotelik od początku.

Z niewiadomego powodu, jeśli coś – na przykład ojciec, który prawie zwariował – zakłócało normalny tok czynności, Kudłata przerywała pracę i zaczynała od samego początku.

Jeśli pomogłem jej zawiązać drugi but, zrzuciła oba i wzięła je od nowa.

Kiedy pomogłem jej zamknąć drzwi do samochodu, wyszła z fotelika, wsiadła i znów zaczęła wsiadać.

– Ja oszaleję! – Złapałem się za głowę. – Zaczęliśmy się ubierać półtorej godziny temu. A może nigdzie nie idźmy, przecież minie cały dzień, zanim ona wsiądzie.

– Już wsiadłam – zawołała uradowana Kudłata.

– Naprawdę? – ucieszyłem się i odłożyłem gazetę, którą w międzyczasie przeczytałem. – To wspaniale, jedziemy.

Oczywiście nie dotarliśmy do urzędu, w którym musiałem załatwić nagłą, niecierpiącą zwłoki sprawę. Zupełnie zapomniałem, że do urzędu prowadzą długie schody, które Kudłata sumiennie przeszła w czasie nieco krótszym od godziny. Nie wystaliśmy też zeznania podatkowego.

Mam nadzieję, że jeśli czyta to ktoś z urzędu skarbowego – to zrozumie. Moja córka uparła się, że sama wypełni PIT, i wrzaskami wymogła oddanie długopisu. W końcu osiągnęliśmy kompromis. Ona sama wypełniła formularz, a ja przekonałem ją, żebyśmy go jednak nie oddawali pani w okienku. Był cokolwiek nieczytelny.

Odtąd nasze życie stało się koszmarem. Ba, niech sobie mądrzy ludzie mówią, co chcą. Podobno pośpiech jest przyczyną setek chorób i zgonów. Może i tak. Zgadzam się z ideą *slow life* – życia pozbawionego pośpiechu. Ale jednak brak pośpiechu ma swoje granice.

Nasze dni zaczynały się leniwie. Samo zrobienie kawy zabierało pół godziny, odkąd Kudłata uparła się, że sama będzie ją dozowała. Na szczęście kawa szybko się skończyła, bo Kudłatej zwykle potrzebna była cała paczka, żeby wsypać potrzebną ilość na jedną filiżankę.

Zapewne zwariowalibyśmy lub umarli z głodu (Kudłata uznała, że nie damy sobie rady, jeśli nie pomoże przy gotowaniu, a ponieważ postawiliśmy się i daliśmy jej tylko plastikowy nóż – krojenie przeciągało się na całe godziny. Oczywiście nie było mowy, żebym ja kroił innym nożem niż ona.). Tak pewnie byłoby do dziś, gdyby nie to, że Pitu wreszcie nie wytrzymał.

– Ej, no, Kudłata, ubieraj się prędzej! – pogonił ją, kiedy przez dwieście minut zakładała but.



- Ej, chcę iść na rower – zniecierpliwiał się.
- Ej, ja wychodzę – wrzasnął i przyłożył Kudłatej raketką po głowie.

No cóż, dzieci nie wolno bić – ale my przecież nie biliśmy, a Pitu jest za mały, żeby go pociągnąć do odpowiedzialności. I dobrze znamy teorię, że bicie nie popłaca. Potem dokładnie to wytłumaczyliśmy Pitulkowi, a on pokiwał głową, zgodził się, że nie wolno bić dzieci, i przyłożył Kudłatej z półobrotu.

- Ona nie jest dzieckiem, tylko siostrzyczką – zwrócił uwagę.

To był pewnie zupełny przypadek i absolutnie nie świadczy o tym, że kary cielesne odnoszą skutek. Niemniej od tej pory Kudłata ubierała się na wyścigi i stawiała gotowa, gdy tylko Pitu zbliżał się z groźną miną.

Tak, to był z pewnością zupełny przypadek.



Jak wychować czyste dziecko, czyli prawdziwa biel

Pitulka udało nam się szczęśliwie wychować na brudasa. Z Kudłatą poszło gorzej – wyrosła na czyścioszkę.

W czasach kiedy znaliśmy dzieci wyłącznie z reklam, milcząco przyjmowaliśmy za pewnik, że dzieci to rozkoszne małe stworzonka z kręconymi włoskami, ubrane w gustowne i czyste spodenki i koszulki. Kiedy już zetknęliśmy się z rzeczywistością, jedną z pierwszych rzeczy, które odkryliśmy, była zasada wielokrotności, która, jak wiadomo, głosi: niezależnie od tego, jak często dziecko jest myte – jak najszybciej wraca do naturalnego stanu, w którym jest brudne.

Rzecz jasna, młody rodzic nie ma o tym pojęcia i rozpaczliwie usiłuje doszorować swoje dziecko. W końcu brudne dzieci widuje się tylko w reklamach proszków do prania – a i tam w ciągu trzydziestu sekund stają się czyste.

Długo trwało, zanim przestaliśmy marzyć o dziecku z reklamy, podaliśmy się i pozwoliliśmy Pitu na swobodny styl *grunge* wymuszony brakiem kolejnych czystych koszulek. Pitu doprowadził brudzenie się do perfekcji i z czasem zaczęliśmy z fascynacją i zrezygnowaniem obserwować, jak w ciągu dwóch minut doprowadza swoje czyste spodenki i koszulkę do stanu, w którym wyglądają na dowody rzeczowe po przejściu tsunami.

Kiedy pojawiła się Kudłata, byliśmy w zasadzie gotowi do natychmiastowego złożenia broni. Brudzą się? Widać tak trzeba. Może za kilkanaście lat przestaną albo kupimy sobie kiedyś jeszcze ze dwie albo trzy pralki, bo ta jedna, którą posiadaliśmy, mimo że włączona na okrągło, nie radziła sobie z napływem poplamionych koszulek, kołderek i kurteczek.

Za to dowiedzieliśmy się wreszcie, dla kogo są te olbrzymie dziesięciokilogramowe wory proszku do prania, które widywaliśmy w sklepach, zastanawiając się, na ile lat starczy taki zapas.

Teraz wiemy.

Są dla nas. A starczą na kilka tygodni.



Jak zwykle nie przewidzieliśmy, że może być jedna rzecz gorsza od dziecka, które chce być brudne. Jest nią dziecko, które chce być czyste.

– Pitu, co to ma być? – Załamałem ręce na widok czegoś, co przypominało potwora z bagien, a było niewątpliwie moim synem, który wyciągnął czekoladę z lodówki i zeżarł, zostawiając spore plamy na buzi, rękach i ubraniu.

– Nie szkodzi. – Machnął ręką Pitu i poszedł się bawić do swojego pokoju.

Z pokoju po chwili dobiegł wrzask, którego nie powstydziliby się mistrz Hitchcock.

– Co się dzieje? – Monika wpadła do dzieci. – Bijecie się?

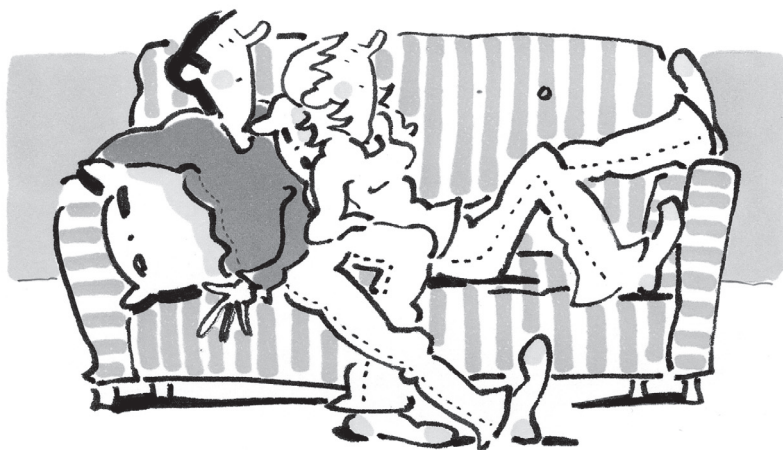
– On, on, on, to, to, to – łkała Kudłata, wskazując na swoją rączkę i zalewając się łzami.

Na rączce widać było ślad z czekolady.

– Tylko ją wziąłem za ręce. – Wzruszył ramionami Pitu.

– Myć, myć, myć – łkała Kudłata.

W łazience odkryła jeszcze mikroskopijny kawałek czekolady we włosach i zażądała mycia głowy.



– Uffff! – Po półgodzinnym szorowaniu wypuściliśmy pachnącą Kudłatą z kąpieli i padliśmy na kanapę. Po trzech minutach poderwał nas ryk naszej córki.

– Tu, tu – płakała, wskazując palukę na nowej sukience, gdzie kapnęła sobie soczkiem z kubeczka.

– Nie szkodzi, nic nie widać, zobacz, wytrzymy i już wszystko w porządku – tłumaczyłem. Czy już wspominałem, że w miarę upływu lat moje zasady higieny osobistej rozluźniły się?

– Nie, nie, brudne, inna ukienka – łkała Kudłata.

Założyłem jej inną sukienkę i z westchnieniem opadłem na kanapę.

Dziesięć minut później Kudłata wbiegła do pokoju i teatralnie przewróciła się na ziemię.

– Tu, tu – płakała, wskazując rękaw, na którym na dziesiąty rzut oka widać było ślad po kredce długości dwóch milimetrów.

Bez gadania poszedłem do szafy i przyniosłem kolejną sukienkę.



Trzy sukienki później wpadłem na Monikę, która z dziwnym wyrazem twarzy usiłowała wysuszyć suszarką wyciągniętą z pralki kolejną sukienkę.

– Myć, myć – płakała Kudłata, wskazując na głowę, na którą spadł jakiś okruszek.

– Kochanie, myłaś się już dziś cała cztery razy, same ręce myłaś ze trzydzieści razy, a sukienek nie jestem w stanie zliczyć.

– Myć! – ryknęła Kudłata.

Można przeczytać wiele podręczników o wychowaniu dzieci i być świetnym teoretykiem w pokojowym rozwiązywaniu takich konfliktów.

Jako praktyk wiem jedno. Są tylko dwa rozwiązania. Rodzic może albo zacząć wrzeszczeć i dostać szau albo machnąć ręką i zgodzić się.

Machnąłem ręką i napełniłem wannę.

– Duzio szamponu – zawiadomiła mnie Kudłata kilka minut później, siedząc w wannie pełnej piany.

– A gdzie butelka? – zapytałem podejrzliwie.

– Tu – pokazała mi puste opakowania po naszych szamponach i płynach do kąpieli.

Od tej pory kąpiele Kudłatej stały się rytuałem. Poranna, popołudniowa i wieczorna. Kudłata niewątpliwie miała ambicje zostania najczystszym dzieckiem na świecie, a my byliśmy na najlepszej drodze do szaleństwa.

Kto wie, w jakim zakładzie zamkniętym byśmy skończyli, gdyby nie to, że po kilku tygodniach Kudłata pogodziła się z tym, że myjemy się raz dziennie, i nie łkała na widok okruszka.

Życie znów byłoby piękne, ale wczoraj przyszedł do mnie Pitu.

– Tato, nie założę tej koszulki.

– Dlaczego? – zdziwiłem się.

– Ona jest zielona, nie pasuje mi do spodenek, wiesz. Chcę dziś tę czarną.

– Ale ona jest brudna.

– To upierz szybko. A czerwoną bluzę niech mama upierze.

Nasze czyste dzieci bawią się zgodnie w pokoju. My zaś od rana siedzimy w łazience i pierzemy. O to nam chodziło – prawda?



Siła spokoju, czyli jak robić, by się nie narobić

Podobno po jakimś czasie do wszystkiego można się przyzwyczać. Podobno nawet do prawdziwej wojny, jeśli trwa dostatecznie długo. Do tego, jak bawią się dzieci – też można, choć bezdzietni przyjaciele aż podskakują, a okrzyk zamiera im w gardle.

Dajemy im jeszcze herbatki. Przekonujemy, że to nie dzieje się naprawdę. Zupełnie jak w telewizji, gdzie wielcy faceci na zawodach wrestlingu rzucają przeciwnikiem o podłogę. Gdyby robili to naprawdę – nie miałby kto wystąpić na następnych zawodach. Albo ci wszyscy statyści spadający z koni w westernach. Już widzę tę scenę.

Miasteczko, jak to w westernie. Główną ulicą w tę i z powrotem cwałtuje grupa podpitych kowbojów, waląc na wiwat z rewolwerów, a na ganku ćmi fajeczkę znudzony szeryf. Ten szeryf to ja.

Znów ktoś wylatuje oknem. Szeryf pędzi mu z pomocą, błyskając gwiazdą i rewolwerem.

– Co się stało? – pyta szeryf.

– Kudłata sama zleciała z tapczanu. Skoczyła, wiesz – poważnie przekonuje Pitulek.

– On, on! – woła oskarżycielsko Kudłata i masuje sobie głowę.

– Nie można spychać siostrzyczki – tłumaczy szeryf i pakuje winnego do paki.

Po dwóch minutach następna rozróżba w saloonie. Szeryf pędzi na miejsce. Pitu siedzi na Kudłatej i dusi ją, usiłując wyrwać jej samochodzik, a ta kopie go obiema nogami.

– Nie wolno! Stop! Rozejść się! – drze się szeryf.

– Ale to ona zaczęła! – ryczy Pitu.

– On, on – jodłuje Kudłata.

Minuta przerwy i kolejna rozróżba. Zziajany szeryf przybiega na miejsce akcji. Kudłata sprytnie zaczęła się na Pitu i złapała go za włosy. Teraz wyrwa mu je po kępce, a Pitulek bezskutecznie usiłuje ją z siebie strząsnąć. Udaje mu się tylko zrzucić talerz ze stołu i rozbić go.

– Proszę natychmiast przestać! – woła szeryf.



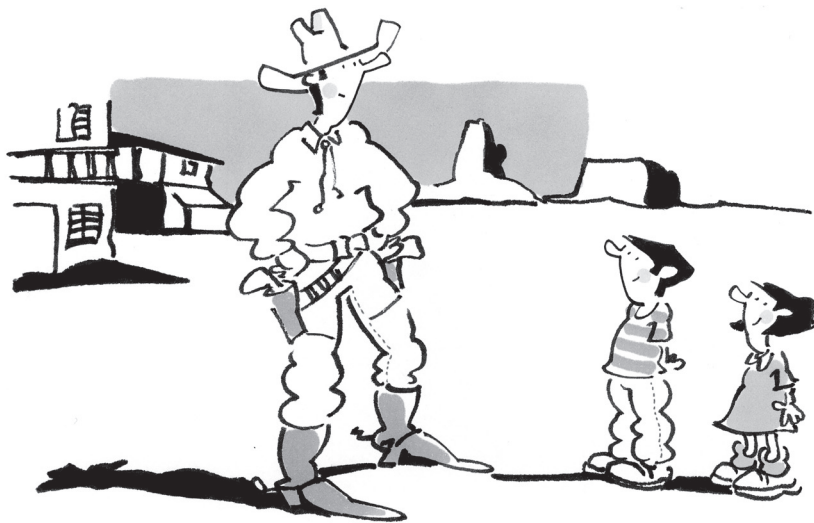
- To ona zaczęła! – wrzeszczy Pitu.
 - On, on – skarży się Kudłata.
 - Przez chwilę pobawcie się w innych pokojach – przekonuje szeryf.
- Pitu leci do siebie, a Kudłata zostaje w kuchni, ale po dziesięciu sekundach postanawia jednak dogonić Pitulka.
- Przyłoży jej – zapowiada Monika.

Rzeczywiście, Kudłata wraca jednocześnie z tarczą i na tarczy, bo ucieka z samochodziem Pitulka, ale i jego pięścią odbitą na czole.

Szeryf już nie może, więzienie jest przepełnione, zresztą nie sposób wszystkich wsadzić do paki. Można oczywiście próbować, ale to niebezpieczna sprawa. Przecież kiedy zaczęto sprawdzać, komu nie należała się renta, okazało się, że prawie wszyscy symulowali. Nie da rady wsadzić do więzienia miliona rencistów, można tylko przymknąć oko.

Szeryf postanawia więc objąć ludność miasteczka programem reedukacji, naiwnie sądząc, że to odciągnie młodych ludzi od łapania prawa.

– Zajmiemy się pieczeniem ciasteczek – tłumaczy szeryf zgromadzonej widowni. – To świetna zabawa. Będziemy mieszać ciasto, a potem foremkami wycinać wzorki i robić ludziki.



– Super, świetnie, ooooo – cieszy się gawiedź, przez chwilę zapominając o kopaniu się.

– Zaczniemy od rozbicia jajek – komenderuje szeryf. – Zaraz, chwila, nie w głowę!

– Ona we mnie rzuciła jajkiem – ryczy Pitu i wali Kudłatą chochlą.

– Spokój, spokój – nawołuje szeryf. – Ja zrobię ciasto, a wy będziecie wycinać.

– Dobrze – zgadzają się podejrzenie jednomyślnie.

– Foremka nie służy do odciskania na twarzy – napomina szeryf Pitulka, który usiłuje wyciąć coś z policzka Kudłatej. Ta się nie daje i drapie go po nodze.

– Auuuu, udrapała mnie! – wrzeszczy Pitu. – A masz! – Rzuca w nią ciastem.

– Proszę o spokój! – Tupie nogą szeryf. – Przypominam, że robimy ciasteczka.

– Ałaaaaa, ona mnie ugryzła! – ryczy Pitu.

Kudłata z niewinną miną ogląda ślady czyichś ostrych zębów na nodze Pitu.

– Chciałem tylko przypomnieć, że się fajnie bawimy. Dom, ciasteczka, rodzinna atmosfera, wszystkie dzieci to uwielbiają – duka powoli szeryf, ale nikt go nie słucha.

– Nie zabieraj mi mojego ciasta, ty wariatko! – krzyczy Pitu.

– On, on, a sio – piszczy Kudłata i szykuje zęby i pazury.

– Znowu chce mnie ugryźć, pobij ją i wsadź do więzienia. – Pitu chowa się za szeryfem.

Kończę sam ciasteczka i wsadzam do piekarnika.

Teraz już rozumiem, dlaczego szeryfowie w westernach nie reagowali na burdy wrzeszczących i strzelających w saloonie kowbojów.

Siedzę sobie na ganku i ćmię fajeczkę. Jak zwykle ktoś wylatuje oknem albo strzela w powietrze, ktoś kogoś gryzie. Czasem wpadnie jakiś znajomy i widzę, że aż się podrywa, kiedy Kudłata leci, zataczając się od ściany do ściany i wrzeszcząc na całe gardło. Za nią Pitu, wrzeszcząc jeszcze głośniej i trzymając się za pogryzioną rękę.

- Nic nie zrobisz? – pyta bezdzietny znajomy.
- To ona, to ta wariatka! – ryczy Pitu.
- On, on, on – płacze Kudłata.

Namyślam się chwilę i kręcę głową. Jasne, że nic nie zrobię. Dzieci wracają do siebie. Nie rusza mnie to, najwyraźniej dobrze się bawią i lubią się gryźć. Ja wstanę z tego ganku tylko wtedy, kiedy ktoś napadnie na bank albo zjawią się Indianie. Howgh!





W zakładach przemysłowych istnieją kontrolerzy, którzy sprawdzają, czy wszystko, co schodzi z taśmy, nie odbiega od normy. Do głowy nam nie przyszło, że sami na siebie nastaliśmy kontrolerów. Może nie są pełnoletni, czytać też nie potrafią, ale żadnej fuchy nie puszczą.

Siódma rano. Śniadanko.

– Daj jajeczniczkę! – zarządza Pitu, a Kudłata potakująco potrząsa grzywką.

Wyznaczony pracownik, czyli ja, pędzi do kuchni, pamiętając, że Pitu lubi jajeczniczkę na kielbasce, bardzo ściętą, natomiast Kudłata nienawidzi w jajecznicy kielbaski, woli mniej ściętą, za to żąda pomidorka i cebulki, których Pitu nie znosi. Patelnia jest tylko jedna, więc kładę po prawej kielbaskę, po lewej pomidorka i liczę, że mi się upieczą. A gdzie tam!

– A co to? – Pitu przychodzi z reklamacją, trzymając oskarżycielsko coś, co identyfikuję jako kawałek cebulki wielkości około dwóch mikronów.

– Paproszek – kłamię na poczekaniu. My, rodzice, codziennie doskonalimy sztukę mówienia nieprawdy.

– Wiesz, że nie lubię cebulki. – Marszczy brwi Pitu i wciera mi cebulkę w spodnie.

– To się nie powtórzy – zarzekam się i widzę, że nie jest dobrze, bo Kudłata znalazła właśnie kawałek kielbaski, który można oglądać tylko pod mikroskopem, i zde gustowana wyrzuciła całość na podłogę.

– Daj inną jajeczniczkę – żąda. – Ta niedobra.

Wzdycham i idę po szczotkę, myśląc sobie, że naprawdę trzeba zainwestować w drugą patelnię, a tymczasem Pitu żąda, żeby Monika nałata mu soczku.

– A co to? Nie lubię! – nadyma się Pitulek.

– Malinowy się skończył. To porzeczkowy. Może być, prawda? – niezręcznie tłumaczy się Monika.

– Nie może! – ryczy Pitu. – Daj malinowy, przecież wiesz, że piję malinowy.



Zły siada na kanapie. Dopiero rano, a jakość obsługi już jest katastrofalna. Co będzie dalej? Zwłaszcza że obsługa rano też w nie najlepszym humorze i najchętniej by gości wypchnęła za drzwi. Ha, żeby tylko za tymi drzwiami był ogródek, a nie klatka schodowa.

Później wcale nie jest lepiej. Wybieramy się na spacer, a Monika słabym głosem usiłuje namówić Pitulka, żeby włożył inne spodnie, bo jego ulubione przybrały barwę do tego stopnia nieokreśloną, że trzeba było wreszcie je wyprać i sprawdzić, czy kiedyś były zielone.

– Nie włożę innych, lubię tamte! – zarzeka się Pitu, uciekając po mieszkaniu. – Przecież wiesz!

Ja usiłuję ubrać Kudłatą, co jest zadaniem niewykonalnym, bo Kudłata może i ma niecałe dwa lata, ale świetnie wie, co chce założyć, a czego nie. Nie chce, na przykład, brązowej czapeczki i ja wiem dlaczego. W fioletowej wygląda lepiej. Ale kontrola jakości nawaliła i zgubiła fioletową.

– Ale może przynajmniej przymierzysz – jęczę, podczas gdy Kudłata skacze po czapeczce, pokazując mi, co o niej myśli.

Na spacerze usiłujemy pójść w stronę parku, ale nasze dzieci wybijają nam to z głowy.

– Nie pamiętasz, że trzeba kupić bułę? – ryczy oburzony Pitu, a Kudłata kopie mnie w nogę, żeby poprawić pracę mózgu ojca.

No jasne, zapomnieliśmy kupić drożdżówki na spacerze, to przecież stały punkt programu. Wracamy do sklepu, a Pitu wgryza się w drożdżówkę, mrucząc coś ponuro pod nosem. Podejrzewam, że pomstuje na brakoróbstwo.

Potem wracamy do domu i usiłuję zadowolić swojego syna obiadem, a Kudłatą sałatką, bo oczywiście moje dzieci różnią się w kwestii diety diametralnie.

– Ten kotlecik jest ohydny – informuje mnie Pitu. – W przedszkolu są lepsze.

– Postaram się lepiej – kiwam głową.

Kudłata zaś wybiera starannie z sałatki wszystkie pomidorki i układa je na podłodze tak, że natychmiast w nie wdeptuję.

– To nie! – mówi ze złością i odchodzi.

Sprzątam pomidorki – jeszcze wczoraj je lubiła, dam głowę – i widzę, jak Monika usiłuje zbudować coś z klocków.

– Nie wiesz, że inaczej się buduje? – ryczy Pitu i wyrywa jej klocki.

– Nie wiedziałam, naprawdę – usprawiedliwia się Monika.

Naburmuszone idą spać. Znowu się nie sprawdziliśmy, a kontrola jakości po prostu leży. Jak tak dalej pójdzie, to wylecimy z roboty. Chyba że znajdziemy kontrolera.



Podobno rodzeństwo uczy się od siebie. Ale miałem nadzieję, że chodzi o inne rzeczy.

– Pitu na pewno nauczy Kudłatą mówić – marzyłem, obserwując nasze dzieci. – Będzie tłumaczył, o co jej chodzi, a ona szybciej zacznie mówić.

Niestety, Kudłata już od początku zdecydowanie odmawiała nauki języka.

– O co jej chodzi? – pytałem Pitu, wskazując na ryczącą Kudłatą. – Dałem jej już lalę, misia, zabawkę, picie. Czego ona chce?

– Nie mam pojęcia – zastanowił się Pitu. – Może lubi ryczeć?

W ten sposób legły w gruzach nasze nadzieje, że Kudłata podciągnie się przy bracie językowo. Zamiast gadać, Pitu postanowił nauczyć siostrę innych rzeczy.

– Nauczyłem Kudłatą wyglądać przez okno – zawiadomił mnie, kiedy wracaliśmy samochodem ze sklepu.

– Dobrze, kochanie – odparłem nieuważnie, szukając miejsca do parkowania.

– Ona już umie wyglądać – pochwalił się Pitu, co zignorowałem, choć jako doświadczony rodzic nie powinienem.

– I potrafi już sama opuścić sobie szybę – ucieszył się Pitu.

Obejrzałem się wreszcie za siebie i ze zgrozą zobaczyłem Kudłatą, która wypięła się z pasów i wisała głową za otwartą szybą samochodu.

– Rany boskie, jak ona to zrobiła?! – jęknąłem.

– Nauczyłem ją, jak wypinać się z pasów – zawiadomił posłusznie mój syn.

Wróciliśmy do domu i już po kwadransie dowiedziałem się, że Kudłata potrafi dosięgnąć do szafki i wyciągnąć klej. Siedziała bardzo zadowolona, klejąc moje notatki.

– Pokazałem jej – oznajmił Pitu. – Ale powiedziałem, że nie wolno – zastrzegł od razu.

- Dzięki, synu – westchnąłem ciężko.
- Popatrz, tato, umie już chodzić po drzewie – powiedział Pitu po południu, wskazując Kudłatą zawieszoną na gałęzi.



- Jak ona tam weszła? – Wzdrygnąłem się, ściągając ją z drzewa.
- Nauczyłem ją. – Uśmiechnął się tajemniczo Pitu. Na dalsze postępy nie trzeba było długo czekać. Nazajutrz znalazłem dzieci w lodówce. To jest Pitulek był pod lodówką, natomiast Kudłata już w zamrażarce. Oboje mieli na sobie sporą porcję lodów czekoladowych.
- Kudłata lubi lody, wiesz – zawiadomił mnie zaaferowany syn.
- Nauczyłem ją, jak otwierać lodówkę.
- A ona wyciągnęła lody – domyśliłem się.
- Tak, wyciągnęła. – Pokiwał głową Pitulek. – Ona dobrze wyciąga, wiesz. Ja nie wyciągam, bo jestem grzeczny.
- Kilka dni temu Pitu uznał, że Kudłata jest już wystarczająco duża, żeby nauczyć ją skakania ze stołu.

– Nie wiem, kto napisał, że rodzeństwo szybciej się rozwija – wychrypiałem, łapiąc Kudłatą spadającą ze stołu. Zresztą już po raz dwudziesty tego dnia. – Ale normalny rodzic tego nie wytrzyma.

– Synu, a nie mógłbyś nauczyć jej, jak wylądować? – jęknąłem pod wieczór, łapiąc Kudłatą po raz pięćdziesiąty.

– Nauczę jutro – powiedział enigmatycznie Pitu i poszedł.

Rankiem następnego dnia obudziło mnie coś ciężkiego, co spadło mi na głowę i okazało się butelką wody mineralnej, którą Kudłata spuściła mi na oko. Kiedy w łazience robiłem sobie okład, który za bardzo nie pomógł, i zastanawiałem się, czy na placu zabaw uwierzą mi, kiedy powiem, że to sine oko to sprawka mojej eterycznej, półtorarocznej córeczki, do środka wmaszerował Pitu.

– Nauczyłem siostrzyczkę, jak otwierać drzwi i gdzie jest picie – zawiadomił mnie z zaaferowaną miną. – Cieszysz się?

– Bardzo – jęknąłem, szukając jakichś dużych ciemnych okularów.

– Bardzo szybko się uczy – westchnęła Monika, obserwując, jak Pitu nauczył siostrzyczkę wypluwać syropek, a ona już całkiem samodzielnie nauczyła się wypluwać jedzonko, potem je zjadać, a potem znowu wypluwać.

W ogóle się nie zdziwiliśmy, kiedy Pitu nauczył Kudłatą, jak kreatywnie lepić z plasteliny (wkładać ją w otwory magnetowidu), jak rysować graffiti (cały dzień szorowaliśmy ściany) i jak profesjonalnie ciągnąć za włosy (teraz już nie tylko koty, ale i my zwiewaliśmy, widząc nadciągającą z błyskiem w oku Kudłatą).

– Chłopie, teraz to już przegiąłeś, ona ma dopiero półtora roku, nie może się sama myć – jęknąłem, wyciągając Kudłatą z ciemnej łazienki, gdzie siedziała w wannie napętnionej zimną wodą, którą sama sobie nalała.

– Nauczyłem ją, jak nalać wody – tłumaczył Pitu z niewinną miną. – Musi być czysta, wiesz?

Od tej pory Kudłata codziennie nabywała od starszego brata jakąś pożyteczną umiejętność. Nauczyła się mówić „kupa” i pokazywać na przygodnie spotkanych ludzi, potrafiła już całkiem niezłe opluwać lustra

w windach i szyby w samochodach, rzucać piaskiem na świeżo czyszczone podłogi oraz wlewać duże ilości wody za kanapę.

Wszystko to, trzeba przyznać, opanowała błyskawicznie i bezbłędnie.

Nie chciałbym wprowadzać na zakończenie pesymistycznej nuty. W końcu to nie tylko Pitulek uczy Kudłatą. Uczą się obie strony. Właśnie przyszedł do mnie syn.

- Mam kupę w majtkach – zawiadomił mnie.
- No nie – westchnąłem. – Masz prawie cztery lata, już od dwóch lat nie robisz w majtki.
- Siostrzyczka mnie nauczyła. – Uśmiechnął się Pitu.



Nazywam się Bond. James Bond. Jeżdżę samochodem zaopatrzonym w dwie wyrzutnie torped samonośnych. W ogóle cały jestem wstrząśnięty, a zupełnie niezmiyszany.

Bez ustanku znajduję się w sytuacjach ekstremalnych, o których James może tylko pomarzyć. Bo co ten 007 wie o świecie. Nigdy przecież nie stanął twarzą w twarz z prawdziwym problemem.

Tak, Bond to mój ideał. Potrafi strzelać, uwodzi kobiety. Jednym słowem, to taki duży Pitulek.

Chłop to chłop, lubi sobie zjeść kotleta czy kiełbachę. Jak się zatnie, to nie popuści, jak się obrazi, to przyłożyć potrafi. Jak coś chce, to wrzasnie, walnie z piąchy i weźmie. No a kobietka? – też wiadomo. Wiotka, szczupła, o linię musi dbać. Kiełbachy nie ruszy, skubnie sałatki, ogóreczka, jogurciku. Siły nie ma, to działa sprytem, a swoje i tak dostanie.

Co to? Zbiór wyświechtanych mądrości ludowych? Materiał do ziryutowania feministek, że niby kobiety są do czegoś zdeterminowane przez płęć? Garść truizmów mających pokazać, że Bond to facet, a kobieta to tylko dodatek do niego? Nie, to nasze dzieci.

Pitu siedzi nadęty przy stole. Przed nim na talerzyku dwa kotlety – i tyle. Ziemniaczka nie ruszy, marchewka to gorzej niż diabeł, o sałacie nie wspominając. Obok Kudłata. Kotlety rzuca kotu, bo przecież wie, że na kotlecie się utuczy. Przed nią na talerzyku kalafiorek, zielony groszek i ogóreczek, który skubie z wdziękiem.

Kiedyś się zastanawialiśmy, jak dieta naszych dzieci ma się do tego, co piszą w mądrych książkach poradnikowych. Nijak się ma – więc przestaliśmy się zastanawiać. Zresztą żaden ze znajomych Pitulka i Kudłatej nie je normalnie. Niektórzy – jak Jasio – w ogóle zdaje się nie jeść, inni tylko czekoladę albo tylko jabłka. No więc z naszymi nie jest najgorzej.

Pitu je kotlet, trzyma swoje samochodziki jak kwoka – pod krzesłem. A Kudłata – jak to kobieta – łakomie spogląda, jak by tu je wyciągnąć.

– Daaaaj! – Wyciąga łapę do Pitulka.

Pitulek oczywiście reaguje jak mężczyzna, czyli grzmoci ją w czoło i ryczy:

– Nie dam samochodu!

Kudłata fraszobliwie pociera sobie czoło i próbuje z innej strony. Kradnie Pitu kotleta i w nogi. Kotleta nie zje za nic, ale przecież nie od dziś wiadomo, że nie chodzi o to, żeby złapać króliczka, ale gonić go. A Pitu – wiadomo przecież, co robi facet, któremu zwinęli kotleta. Dogania Kudłatą i wali ją w plecy. Ta pada na podłogę i ryczy, jakby jej głowę urzynałi, ale to tylko zasłona dymna. Nadbiega mama i tłumaczy Pitulkowi, że nie wolno bić i kopać siostrzyczki. Siostrzyczka tymczasem cudownie zdrowieje i leci do samochodzików Pitulka, które są teraz zupełnie niepilnowane i znikają jak za dotknięciem różdżki w jej kieszeniach.

Pitulek spostrzegł, że coś jest nie tak, i pędzi policzyć samochodziki, a Kudłata już siedzi i udaje, że je kalafiorka. Tylko że jeden samochodzik wystaje jej z nogawki, ale na szczęście Pitu liczy na razie tylko do trzech i nie zauważa manka.

Mówię, że jestem zmęczony, a Monika dziwi się, że taki fantastyczny facet jak ja bywa zmęczony. Rzeczywiście, że też na to nie wpadłem. Fantastyczni faceci zawsze są przecież gotowi na wszystko.

– Wiesz, zawsze przypomniałeś mi Jamesa Bonda – mówi Monika.
– To dlatego za ciebie wyszłam.

– O rany, naprawdę? – dziwię się i odruchowo wciągam brzuch.
– A mówiłaś, że robi mi się brzuszek.

– No coś ty! – Monika czule patrzy mi w oczy. – Żartowałam. Nie widzę żadnego brzuszka.

– Ale bardziej przypominam Seana Connery czy Pierce’a Brosnana – drążę ten fascynujący temat.

– Obu naraz, kochanie, obu naraz – szepcze Monika.

No nie powiem, to bardzo miłe. Ja jako 007? Właściwie dlaczego by nie? Kiedy tak patrzę w lustro, to widzę nawet pewne...

– Taki jesteś dzielny, to może wzięłabyś dzieci na plac zabaw? – uśmiecha się Monika. – Bo ja jestem wykończona.

Ba, co to jest dla Jamesa Bonda dwójka dzieci. W porównaniu z tajną organizacją Smiesz albo morderczym satelitą dzieci to pestka.

Zabieram chłopca i kobietkę do piaskownicy. Pięć minut spokoju, a potem Pitu ryczy, bo chłopiec porwał mu traktor. Pitu leci, żeby walnąć go rączką i nóżką, a chłopiec się odgryza. Zabieram wierzgającego i odgrążającego się Pitu na bok i tłumaczę, że jednak konflikty będziemy rozwiązywać inaczej. Kudłata tymczasem w zamyśleniu kręci sobie włoski na paluszku, potem nieobecny ruchem nabiera foremkę piasku, sypie chłopczykowi za koszulę i dam głowę, że wszyscy prócz mnie uwierzą, że to przypadek. Chłopczyk się otrząsa, Kudłata podaje mu jego własną łopatkę, chłopczyk dziękuje, Kudłata znika.



A gdzie schowała łup? Ma go w kieszeni, zamysłona głaszcze się po traktorze, który właśnie zwinęła chłopczykowi, kiedy odwróciła jego uwagę...

Czuję, że z każdą chwilą coraz mniej jestem 007. Na miłość boską, co taki James Bond by zrobił na moim miejscu? Jak go znam, poderwałby, powiedzmy, Angelinę Jolie, która – traf chciał – przechodziłaby

akurat obok, i oddał dzieci w jej ręce (umawiając się, rzecz jasna, na upojny wieczór).

A ja co? Jak okiem sięgnąć, żadnej Angeliny, tylko jakaś babcia o lasce.

Idziemy z dziećmi do sklepu. 007 chyba nigdy w życiu nie był w sklepie, wszystko przynosił mu *room service* – nie miałby pojęcia, co robić. On pokazywał się wyłącznie w kasynach i ekskluzywnych restauracjach. Wątpię, czy nawet portfel ze sobą nosił. Swoją drogą, ciekawe, co by zrobił bez portfela, kiedy dzieci rzuciłyby się na jajka niespodzianki i zeżarty je na miejscu.

Wiem co. Oczarowałby Halle Berry, która przypadkiem byłaby kasjerką, i umówił się z nią na wieczór. A piękna Halle dałaby dzieciom wszystkie kinderniespodzianki za darmo i westchnęła jeszcze: „Och, James”.

Tymczasem robimy zakupy i dobrze widzę, że za kasą stoi jakiś ponury facet, a Halle Berry ani śladu. Sklep to dla nas ciężka przeprawa. Pitu przypuszcza atak na batoniki, które znosi do wózka w ilościach hurtowych.

– Może lizaczka – proponuję. – O nie, na pewno nie dziesięć batoników.

Pitu pada na ziemię, kiedy słyszy taką niemoralną propozycję, i zapłakuje się do utraty tchu. Po kwadransie udaje mi się go jakoś podnieść, on protestuje wielkim głosem, że krzywda mu się dzieje. Kudłata cichutko kręci sobie włoski i nieśmiało się uśmiecha.

Pitu tymczasem tupie z wściekłości, bo nie zgodziłem się na zabranie ze sklepu kilkunastu samochodzików.

Wreszcie wychodzimy. Pitu zły jak osa, ja wykończony, jedynie Kudłata szczęśliwa i uśmiechnięta. Tylko co znaczą te czekoladowe plamy na buzi? Te resztki papierka po batoniku w kieszeni, ten samochodzik wystający z łapki? Jak ona go wyniosła?

Tak, ona by się nadawała na agentkę 007, ja pasuję.

Wracam do domu z silnym przeświadczeniem, że może tak obaj z Pitulką nauczylibyśmy się czegoś od kobiet. Zdecydowanie James



Bond musiał ściągać od kobiet. Facet by tego nie wymyślił. Tylko kobiety potrafią tak czarować, że zrobi się robotę za friko i jeszcze się jest szczęśliwym. Zaraz, jak to się robi? Kręci się włoski na paluszku, trzeba się zabójczo uśmiechnąć, zmrużyć oczy i zaproponować, żeby ktoś odwalił za ciebie brudną robotę. I to działa.

Wróciliśmy do domu. Kudłata i Pitu wpadli jak stado Hunów, waląc w ściany butami.

– Gdzie się tak ubrudzili? – Załamała ręce Monika. – Trzeba ich wykąpać.

– Ach, długo by mówić. – Machnąłem ręką. – Jestem padnięty.

– No co ty, James? – Uśmiechnęła się Monika i zmrużyła oczy. – Ty zmęczony? Nie wierzę.

– No, może nie tak bardzo – wyprężyłem pierś.

– Wiedziałam, mój ty bohaterze – szepnęła Monika i uśmiechnęła się. – To wsadzisz je do wanny i umyjesz. I pamiętaj, żeby umyć im głowy, a potem przebrać w piżamki.

Chciałem coś powiedzieć, ale zabrało mi ciętej riposty. Dziwne, Bondowi nigdy się to nie zdarza.



Jak spędzać czas z dziećmi,

czyli stado

Poniższy rozdział nie powinien być czytany przez osoby zamierzające zostać rodzicami ani też osoby niepełnoletnie. Autor nie zamierza ponosić żadnej odpowiedzialności za powstałe w wyniku przeczytania rozdziału zmniejszenie dzietności i w konsekwencji spadek rozrodczości. Wszelkie zażalenia będą ignorowane.

Jeden osobnik to tylko jeden osobnik. Co innego – stado. Jeden słoń czy dzik da się zapędzić z powrotem do lasu. Co innego stado słoń albo dzików. Zniszczą pola, zjedzą to, co rośnie, a resztę uklepią i zdepczą. Nie wiem, czy dwa dziki albo słońce to już stado. Jeśli chodzi o dzieci – dwójka z pewnością już stadem jest.

Instynkt stadny powoduje, że o ile pojedynczego wilka albo słońca uda się przekonać, zastraszyć, no, jednym słowem, jakoś zneutralizować, to ze stadem nie mamy żadnych szans.

My tego nie wiedzieliśmy, więc wybraliśmy się na miasto.

Nie wiedzieliśmy jeszcze, że właśnie zamiast dwójki dzieci mamy stado. W końcu przez całe dwa lata nie mieliśmy stada, tylko dwie jednostki zwalczające się bardziej zacięcie niż partie w parlamencie i równie uparcie jak politycy twierdzące, że powodują nimi jedynie dobre intencje. Za to przeciwnik miał się odznaczać nieludzkim okrucieństwem i prowokować konflikty.

Nic dziwnego, że gdy po latach utarczek i otwartych bitew nagle pojawiła się koalicja – poważnie się zaniepokoiiliśmy. W końcu tak samo przecieralibyśmy oczy, gdybyśmy spotkali Leppera idącego pod rękę z Balcerowiczem i prawiącego mu komplementy. A gdy Balcerowicz na dobitkę wychwalałby czytanie swego rozmówcy, sprawa zdecydowanie wyglądałaby podejrzanie. Jeśli zaś obaj pędzą przed siebie w zgodnej komitywie, wznosząc okrzyki radości – no cóż, trudno to sobie wyobrazić.

Tak właśnie powstało nasze domowe stado, choć, rzecz jasną, nie mieliśmy o nim pojęcia. Po prostu z ulgą odetchnęliśmy. Zamiast latających w powietrzu klocków – cisza? Zamiast walk na widelce i buty

– spokój? Zamiast guzów i zadrapań – porządek? No cóż – z ręką na sercu – kto by na to nie poszedł?

W filmach fantastyczno-naukowych jest zwykle scena, w której bohaterowie niczego nieświadomi dowcipkują sobie, popijając herbatkę. Tymczasem tuż za ścianą albo w piwnicy rozmnaża się właśnie Obcy, pęcznieje inteligentna galareta albo rosną wielkie macki. Piliśmy więc właśnie herbatkę, radośnie sobie dowcipkując i zastanawiając się, co też stało się z naszymi dziećmi, że zamiast tłuc się i rzucać w siebie obiadek, postanowiły w ciszy i spokoju spędzić dzień.

– Tata, a pójdziemy na spacer? – zaproponował Pitu, wychodząc z pokoju.

– Jasne, kochanie – zapewniłem go, przecierając oczy. – Razem z Kudłatą?

– Tak, bo to moja siostrzyczka – zapewnił mnie Pitu. – Kocham moją siostrzyczkę.

– Czy to nie wspaniałe? – szepnęła Monika. – Popatrz, sądziliśmy, że do takiej sceny dojdzie najwcześniej za dwadzieścia lat.

Pitu tymczasem pomagał Kudłatej zakładać kurteczkę, Kudłata zaś szczyrzyła zęby w uśmiechu i zamiast gryźć mówiła:

– Dziękuję baldzo.



Rzecz jasna, to powinno dać nam do myślenia, ale w końcu w tych filmach fantastyczno-naukowych bohaterowie też mówią: „A po co zabierać karabin laserowy, to w końcu tylko krótka wycieczka.”

Ja też popełniłem ten błąd.

– Iść z wami? – zapytała Monika pomna doświadczeń rodziców dwójki dzieci, które usiłują się wepchnąć pod nadjeżdżający samochód i konkurują pod każdym względem. Poczawszy od tego, że biją się, kto ma nacisnąć przycisk wzywający windę.

Popatrzyłem na dzieci, które nie waliły się traktorkami po głowie, nie ciągnęły za włosy, nie tłukły głowami o ściany i nawet się nie gryzły.

Nie, nie. One siedziały na podłodze i pomagały sobie nałożyć buty.

– No skąd – powiedziałem na swoją zgubę. – Kochanie, ktoś nam podmienił dzieci. Przecież dam sobie sam radę.

– Pójdziemy do sklepu – zaproponował Pitu w windzie.

– A po co? – zainteresowałem się.

– Kupimy trochę picia. – Pokiwał głową. – Na pewno Kudłatej będzie się chciało pić.

– Oczywiście że pójdziemy – powiedziałem pogodnie.

– Pójdę po picie – zawiadomił mnie Pitu w sklepie i zniknął.

– Ja też pójdę po picie – zawołała Kudłata i zniknęła, zanim zdążyłem zaprotestować.

Wrócili po dwóch minutach z zakupami.

– Masz, tato, kupiłem ci piwo. – Pitu wręczył mi puszkę.

Pani przy kasie popatrzyła na mnie z potępieniem i mogłem sobie wyobrazić, co będzie o mnie opowiadała. Pitu, niestety, od jakiegoś czasu żył w silnym przekonaniu, że codziennie musi mi kupić puszkę piwa, choć nie pamiętam, bym kiedykolwiek pokazywał się z piwem.

Nie to, żebym był abstynentem, jednak jeśli chodzi o alkohol, pijam wina. Pitu nie przyjmował tego do wiadomości i teraz stał z kolejną puszką.

Eksperci od dzieci z pewnością mają jakąś złotą radę, co robić w takiej sytuacji, kiedy syn przynosi ci puszkę piwa i możesz powiedzieć, że bardzo dziękujesz i to miło, ale jednak zostawmy ją na półce (dziecko

zalewa się łzami i woła, że tatuś go nie kocha), albo zignorować złe spojrzenia innych kupujących – oho, tata alkoholik wykorzystuje małoletnie dziecko, żeby kupowało mu klina (dziecko pozostaje uśmiechnięte, a ja mam dwudziestą puszkę piwa do postawienia w przedpokoju).

– Dobra, weźmiemy to piwo – westchnąłem i wpakowałem puszkę do koszyka.

– Kupiłem Kudłatej lizaka – pochwalił się Pitu.

– Dobra, niech będzie, wkładaj do koszyka.

– I jeszcze czekoladka. Kudłata bardzo lubi czekoladki – przekonywał mnie poważnie Pitu, wkładając do koszyka okazały stos batoników.

Tak, niewątpliwie jakiś mądry poradnik również uczy, co należy zrobić w takiej sytuacji, ale nie miałem czasu się nad tym zastanowić, bo właśnie nadbiegła moja córka i wsypała do koszyka jeszcze większy stos ciastek.

– To dla Pitu. – Pokiwała poważnie głową. – On lubi ciasto. Nie dla mnie. Nie, nie.

Co było robić? Kupiłem stos czekoladek, batoników, ciastek, soczków i puszkę piwa i ruszyliśmy dalej.

– O, piesek! – ryknął Pitu i popędził w stronę ulicy.

– Piesek, piesek! – wrzasnęła Kudłata i ruszyła za nim.

– Zostawcie pieska! – usiłowałem interweniować.

Dzieci rzuciły się na przerażonego jamnika i Kudłata starała się pocałować go w nos, a Pitu przytulić, co w jego wykonaniu wyglądało na próbę zgniecenia pieska ciałem.

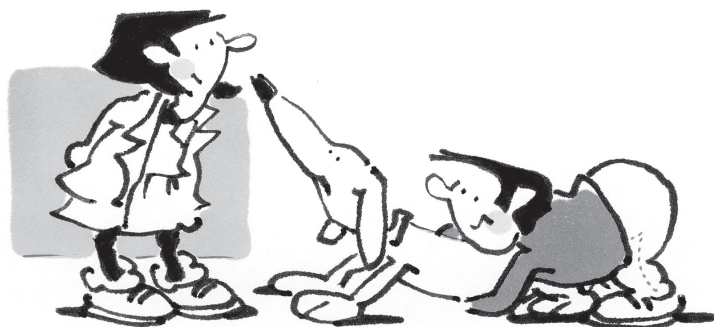
– Ile razy mówiłem, że nie podchodzimy do nieznanego piesków – odrywałem dzieci od jamnika.

– Ale ja lubię tego pieska – tłumaczył Pitulek.

– Tak, wiem. Ale piesek może ciebie nie lubić.

– On lubi, lubi. – Kiwała głową Kudłata, wskazując na jamnika, który rzeczywiście sprawiał wrażenie szczęśliwego.

– Idziemy, idziemy – rozdzieliłem dzieci z jamnikiem i zamierzałem przemówić do rozsądku, ale stado zobaczyło w tym momencie plac zabaw i pędziło przed siebie.



- Wodaaaaa! – ryczał Pitu.
- Zjeżdżać! – wołała Kudłata.

Niedobrze. Wykwalifikowany rodzic musi nauczyć się bardzo szybko i trafnie podejmować decyzje. Powiedzmy, jedno dziecko pędzi w stronę ruchomego chodnika, a drugie w stronę nadjeżdżającej śmieciarki. Nie da rady złapać obojga. Wykwalifikowany rodzic musi wtedy w ułamku sekundy zdecydować się, co robić: które z dzieci raczej się zatrzyma, niż wskoczy pod koła, które da się wciągnąć w tryby jakiejś wielkiej maszyny, a które po prostu poogląda maszynę z boku.

Właśnie nadeszła taka chwila i zdecydowałem, że Pitu nie jest głupi i nie wpadnie do wody, trzeba za to łapać Kudłatą, która była tylko o kilka kroków od zjechania z wybetonowanej górki.

– Umówiliśmy się przecież, że nie uciekamy. Bawimy się, czyli nie skaczemy do wody, nie ryzykujemy, że skrećimy kark.

– Ale przecież nie skręciłem karku – zwrócił uwagę Pitu całkiem nie bez racji.

Westchnąłem ciężko.

Stado pobiegło na plac zabaw i z zainteresowaniem obserwowałem, jak Pitu troskliwie podsadza Kudłatą, a ta wspina się po sznurowych drabinkach.

– Nie boi się pan, że spadnie? – zagadnęła jakaś mama trzymająca za rękę córeczkę w wieku Kudłatej.

– Nie, dziękuję, raczej się nie boję – podziękowałem uprzejmie.

Mamafia prychnęła i odeszła, a ja zerknąłem na dzieci. Drabinki były puste, po dzieciach nie było ani śladu. Rozejrzałem się dookoła. Może nie piszą o tym w przewodnikach dla rodziców – ale wiedziałem, co jest kluczem do szczęśliwego powrotu z placu zabaw. Odpowiednie ubranko. Wszystkie dzieci ubierane są podobnie, nie sposób dostrzec je w tłumie. A Pitu był cały na czarno, za to Kudłata na czerwono.

Ale i tak nigdzie ich nie było widać.

Siedzieli zgodnie w fontannie, mocząc buty w wodzie.

– Kudłata mi pozwoliła. – Uśmiechnął się Pitu.

– Pitu mi pozwolił. – Wyszczrzyła się Kudłata.

Wróciliśmy do domu.

– Mama, idziemy na spacer – jęknął Pitu. – Nudzę się.

– Ja też nudzę – nudzę! – wrzasnęła Kudłata.

– No dobra, idziemy – powiedziała Monika.

Wieczorem siedzieliśmy padnięci na kanapie.





- One nas załatwią – powiedziałem. – Dziś zrobiliśmy z osiem kilometrów.
 - Dom – powiedziała Monika. – Dom nas uratuje.
 - Czyli co? – nie zrozumiałem.
 - Zbudujemy dom i zamiast chodzić całe dnie na spacer, po prostu otworzymy drzwi, a one polecą się bawić.
 - Genialne – westchnąłem.
- Ale to całkiem inna historia.



Babcia – na wagę złota. Niektórzy posuwają się do tego, że kradną dobre babcie. Dobra babcia przychodzi, kiedy chcemy iść do kina, i wychodzi zaraz po naszym powrocie. Gatunek ginący. Patrz: Niania.

Niania – nie tak dobra jak babcia. Zwykle chce pieniądze, jakby nie wystarczyła przyjemność obcowania z naszym potomkiem. Zajmuje się rozmawianiem z innymi nianiami, w czasie gdy nasze dziecko moczy nogi w stawie.

Wujek – ktoś, kogo powinno mieć każde dziecko. Wujka powinniśmy wybrać dużego, żeby mógł dziecko długo podrzucać, a również posażnego – żeby przynosił duże prezenty.

Ciocia – dobry dodatek do wujka, skłania go do kupowania większych prezentów.

Pieniądze – coś, czego wciąż brakuje na kolejne kinderniespodzianki. Wyjmuje się je z bankomatów.

Kinderniespodzianka – obowiązkowy zakup każdego dnia. Po pewnym czasie nawet szybko ci idzie składanie małych ludzików. Przeciętne dziecko bawi się ludzikiem około półtorej minuty, po czym zabawkę wyrzuca.

Pokemony – stworki dziwnie podobne do naszych dzieci. Bardzo głupie, ohydnie narysowane, niemające za grosz gustu. Dzieci więc je uwielbiają.

Kreskówki – kosztują tak mało, a mogą dać tak dużo. Chwilę spokoju.

Maluszek – eufemistyczne określenie terroryzującego nas potwora.

Wolny czas – coś jak stukaratowy brylant. Teoretycznie każdy może go sobie wyobrazić. Tylko teoretycznie.

Obiadek – na pewno ten specjalnie przygotowany jest niedobry.

Czytanie na dobranoc – w powszechnej opinii niezbędny element wychowania dziecka. Pozwala rodzicom poczuć się trochę lepiej. Tolerowane przez dzieci, bo pozwala im dłużej nie spać.

Batonik – główne pożywienie dzieci.

Sklep – miejsce, skąd przynosi się batoniki.

Samochód – skład rzeczy różnych i poręczne miejsce na upychanie śmieci.

Praca – miejsce, gdzie na kilka godzin można się ukryć przed dziećmi. Patrz: Delegacja.

Delegacja – dobra delegacja pozwala na kilka dni wymknąć się z domu. Można opowiadać o pracy przez kilkanaście godzin dziennie. Niestety, nie zgasi podejrzliwości współmałżonka, który i tak wie, że miał gorzej, zostając z dziećmi.

Mama – dobra alternatywa taty, jak się go już wykończy.

Tata – dobra alternatywa mamy, jak się ją już wykończy.

10 najczęściej zadawanych pytań o wychowanie dziecka

1. Jak pogodzić pracę z wychowaniem dziecka?
Nie da się.
2. Co robić, żeby dzieci się nie biły?
Przeczekać.
3. Co robić, kiedy mąż się nie odzywa, a żona zwariowała?
Wszyscy rodzice wariują. Przyzwyczaić się.
4. Moje dziecko ma ataki furii, jak reagować?
Wszystkie dzieci mają ataki furii. Niektóre wyłącznie.
Nie reagować.
5. Ja mam ataki furii, kiedy córka znowu wleje mi zupę do kieszeni.
Co robić?
Wyraży współczucia, ale mogła wlać do komputera.



6. Moje dziecko je wyłącznie kiełbasę. Co zrobić, żeby polubiło warzywa?
Za 20 lat polubi. Teraz co najwyżej przerzuci się na nutellę.
7. Jak mam robić zakupy z dzieckiem? Ono demoluje sklep, bo chce batoniki i pokemony.
Często zmieniać sklepy.
8. Dlaczego moje dziecko kłamie?
Wszyscy kłamią. Ja kłamię, pani kłamie i tamten pan też kłamie.
9. Czy można nauczyć dziecko porządku?
Pewnie tak, ale nikomu się nie udało.
10. Jak wychować szczęśliwe dziecko?
Ono już sobie poradzi. Lepiej troszczyć się o siebie.



Spis treści

Nie dla idiotów, czyli jak spędzić doskonale Świąta	7
Jak oglądać telewizję i zachować zdrowe zmysły	20
Jak wychować grzeczne dziecko, czyli pragnienie nie ma szans	31
Pierwsza miłość, czyli wizyta	37
Jak rozmawiać z dziećmi, czyli precedens	45
Jak wychować prawdopodobne dziecko, czyli winda	48
Jak spędzić idealne wakacje, czyli hotel	52
Jak podróżować samochodem, czyli przeznaczenie	58
Pasta do zębów, czyli Oscar	63
Jak przyzwyczaić dzieci do mycia zębów, czyli mleko kakaowe	69
Jak zagonić dzieci do spania, czyli tylko krowa nie zmienia poglądów .	73
Lubię twoją zupę, czyli resztki godności	81
Jak negocjować z dziećmi, czyli spółka	88
Idealny rodzic, czyli byt nieistniejący	94
Tu są robaki, czyli sztuka blefu	99
Zrób to sam, czyli co zrobić z samodzielny dzieckiem	103
Jak wychować czyste dziecko, czyli prawdziwa biel	109
Siła spokoju, czyli jak robić, by się nie narobić	113
Wszystko, co najlepsze, czyli kontrola jakości.	117
Siostrzyczka już umie wyskakiwać, czyli co ma wisieć, nie utonie.	120
007, czyli seksapil to nasza broń kobieca.	124
Jak spędzać czas z dziećmi, czyli stado	129
Słowniczek najważniejszych terminów	136
10 najczęściej zadawanych pytań o wychowanie dziecka	138